Rok XIX. We Lwowie, dnia 22. grudnia 1911. Nr. 52.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 11 Kor.
półroczna . 6 „
kwartalna . 3 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: Ks. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

W dzień Bożego Narodzenia.

I znowu przypomina dzień dzisiejszy całej ludzkości ową chwilę największego znaczenia dla jej dziejów, chwilę, w której spełniła się najcudowniejsza z tajemnic Bożych. Gwiazda betlehemska nie przestała i nie przestanie nigdy jasnym świecić blaskiem duszom naszym, chociaż jej nie widzą oczy cielesne, chociaż jej nie chce widzieć świat, pogrążony w ciemnościach niewiary i ciemnościach grzechu Odwraca on oczy od świateł niebieskich i z dumą śmie nawet głosić, że je pogasił. Sam sobie chce on wystarczyć i sam zaspokajać wszystkie potrzeby swoje. Chlubi się zdobyczami swojej nauki, postępem swojej cywilizacyi, doskonałością swoich ustaw, swobodą życia, uwolnionego od jarzma prawa Bożego. Ale oto coraz wyraźniej występują na jaw skutki tej nieszczęsnej swobody. Począwszy od owej strasznej burzy, która nazywa się wielką rewolucyą francuską, aż do dnia dzisiejszego nie miała ludzkość spokoju, nie mogła cieszyć się owocami swych trudów. Początek wieku 19 go rozbrzmiewał wielkiemi hasłami wolności, równości i braterstwa a w rzeczywistości zapanowała i panuje dotąd przemoc i panuje pieniądz — narody chrześcijańskie grożą sobie nawzajem milionami bagnetów, a masy, podżegane przez nauczycieli fałszywych, nie znające Boga, nie chcące nic wiedzieć o Jego przykazaniach i o swoich obowiązkach, zatrute jadem nienawiści, wstrząsają już posadami mocarstw największych na ziemi, usiłują je obalić, aby na ich gruzach swoje zatknąć sztandary.

Ale wśród tych ciemności, udręczeń i smutków nie przestało nam jaśnieć światło, które zabłysło przed 19-u wiekami na wyżynie Syonu! Upadają mocarstwa, kruszą się berła, giną w zapomnienia toni wymysły ludzkie, wieki niweczą, co wieki stworzyły, lecz nie przebrzmiały słowa prawdy, objawionej nam przez Zbawiciela świata, On nas nie przestał pouczać, umacniać, pocieszać i prowadzić do Ojca, który jest w niebie i ta sama ofiara, którą za nas złożył, powtarza się codziennie w tysiącach przybytków Bożych na całej ziemi. „Jezus Chrystus wczora i dziś, ten i na wieki“ (Żyd. 13,8).

Jakkolwiek smutne są czasy dzisiejsze, w których tak rozpanoszyły się potęgi ciemności, sekty wrogie chrześcijaństwu, „niema przecież żadnego powodu“ — jak powiedział niedawno nieustraszony Sternik łodzi Piotrowej „niema powodu do zwątpienia o ratunku społeczności“, bo oto „dobroć miłosiernego Boga, rozniecając nowy ogień miłości chrześcijańskiej, wzywa błądzących do powrotu na dobrą drogę“ — bo oto „nowym płomieniem zapala się na obu półkulach miłość katolików“ ku Zbawicielowi, mieszkającemu z nami w Najśw. Eucharystyi.

Szerzmy tę cześć i miłość słowem i przykładem; głośmy z niestrudzonym zapałem prawdy Boże, a bądźmy pewni, że praca nasza przyniesie plon obfity!

„Wolna Myśl“ i „Wolna Szkoła“.

(C. d.)

Racyi jest wiele i studyum nad tą psychologią niewiary [1]) mogłoby być niezmiernie ciekawe — wykazałoby ono z pewnością, że wiarę tracą przedewszystkiem ci, co ją stracić chcą, że nieraz obalenie wiary w duszy to niby owo trącenie palcem ściany, która i tak ledwie stała i bez tego trącenia musiała się wywrócić, co tak plastycznie i wstrząsająco przedstawia w swej „Spowiedzi“ Tołstoj; kiedy człowiek, urodzony w wierze, następnie w życiu swem o tę wiarę zgoła nie dba, żyje, nie oglądając się na nią, na jej zobowiązania moralne, to oczywiście dojdzie do stanu obojętności, z którego już tylko krok jeden do zupełnej negacyi — a wtedy marny „Katechizm Wolnej Myśli“ z równym rezultatem dzieła dokona, jak poważne dzieło filozoficzne.

Ale bywa też inaczej. Zasady moralne, wszczepione dziecku wraz z wiarą, nie więdną tak prędko, owszem żyją w duszy — człowiek słyszy niejako ten głos sumie-

[1]) Nieco obszerniej tę kwestyę omówiłem w artykule pt.: »Z psychologii niewiary«. (Miesięcznik kościelny, luty 1910).

Do całego nakładu tego Nru dołączamy zawiadomienie o nowych katechezach X. Z. Bielawskiego i o nowych wydawnictwach księgarni F. Westa w Brodach.

nia chrześcijańskiego w sobie — ale równocześnie słyszy i inne głosy, które z każdym dniem donośniej rozbrzmiewają w kulturalnej Europie, bo nawoływania do użycia rozkoszy, do zaspokojenia każdej — już nie potrzeby, ale zachcianki natury; — z teatru Szekspira zaczyna człowiek dzisiejszy uciekać do teatrzyku operetki, a i to za mało, kabaret staje się najbardziej ulubioną rozrywką, na co z niepokojem wskazują poważnie myślący ludzie Anglii, Francyi, Niemiec, pełni obawy o przyszłość prawdziwej sztuki i przyszłość moralną Europy. Otóż to używanie [illegible] typu w zbyt wielkiej stoi dysharmonii z głosem sumienia chrześcijańskiego, by jedno i drugie obok siebie ostać się mogło A że chęć użycia wielka — a to użycie, niepokojone wyrzutem sumienia, nie może być użyciem pełnem, więc oczywiście więcej niż mile widziany oswobodziciel, który owe wyrzuty obali — wyrwie z korzeniem t. j. z wiarą; a wtedy umysł, usidlony namiętnością, nie bada, kto to zacz ten zbawca, ale bezkrytycznie przyjmuje bodaj „katechizm wolnej myśli“ lub przestarzałą, przez naukę dawno wzgardzoną i zapomnianą broszurę Woltera czy Diderota.[1])

Że taka najczęściej bywa geneza rzeczy, dowodzą same dzieje „Wolnej Myśli“. Zrodziła się ona bowiem, choć jeszcze nie pod tą firmą, w czasie Odrodzenia i to tak, że nie ona wyprzedziła upadek moralny, ale przeciwnie, najpierw dokonało się sławne w dziejach rozluźnienie obyczajów, widoczne w literaturze od Dekamerona do Valli: *De vero bono,* a dopiero potem, najwyraźniej więc jako konsekwencya tego faktu, przyszły próby obalenia zasad wiary. Kiedy zaś ten sam objaw powtórzył się w wieku XVIII już pod firmą „Wolnej Myśli“ we Francyi, a za nią w całej zachodniej Europie, zespolenie niewiary z niemoralnością było tak ścisłe, że niema prawie pisarza, któryby obalając wiarę, nie obalał równocześnie i to z całą świadomością i intencyą złą, moralności. Najpoważniejszy z nich, sam Montesquieu tyle rozsiał w swych dziełach rzeczy ślizkich, tak miejscami (i to wśród najpoważniejszych rozpraw) lubuje się wprost w obrzydliwościach nie do powtórzenia tutaj, że nawet u tak naprawdę uczonego autora człowiek się waha, czy ta myśl jest wolna, czy i tu ona nie jest przedewszystkiem usidlona najniższemi namiętnościami i im oddana w niewolę. A cóż dopiero mówić o innych, którzy umysłem są karłami wobec tamtego — ma się wrażenie, jakby wszyscy oni — oczywiście z Wolterem na czele — natchnienie czerpali wprost z kanałów, tyle tam wyuzdanej sprosności, tyle brudu moralnego! Tak, że widząc ten entuzyazm, z jakim witano ów „wiek rozumu“, człowiek się pyta, czy to był naprawdę entuzyazm rozumu ludzkiego, duszy ludzkiej, czy też nie przeciwnie namiętności ludzkiej — swawola tego zwierzęcia, długo trzymanego na wodzy pętami Ewangelii, a teraz nagle puszczonego na wolność?

I dziś zdaje się nie być inaczej. Toż wolnomyśliciele dzisiejsi aż nadto często bywają pionierami nie tylko tego pseudo-rozumu, ale i kultu niemoralności, bo, rzecz znamienna, idea „Wolnej Myśli“ ma za nieodłączną towarzyszkę ideę „Wolnej Miłości“, ideę pogańskiej etyki: *naturam sequi,* t. j. każącą iść za popędami natury, słowem, wolno myśleć, co ci się podoba, wolno czynić, co ci się podoba. Widzimy to najwyraźniej we Francyi, gdzie wogóle panowanie „Wolnej Myśli“ okazuje się już bez osłonek, jakiem jest w rzeczywistości, tam przecie „Wolna Myśl“ jest u steru rządu, tryumfuje. I cóż tam widzimy? Oto, że wolno tam wieść życie mało co różne od zwierzęcia, wolno uprawiać wolną miłość i zmieniać co roku lub częściej żonę — rozwód tam, to formalność biurowa tak jak ślub — wolno być materyalistą i wychowywać tak dzieci swoje, wolno głośno szerzyć anarchizm z zasadą: „precz z Bogiem, precz z ojczyzną, precz z rodziną!“ ale nie wolno, będąc n. p. urzędnikiem, być praktykującym katolikiem, nie wolno dzieci wychowywać po katolicku w szkole katolickiej; wyraźnie reskrypt ministeryalny przestrzega, by urzędu prefekta nie poruczać człowiekowi, któryby dzieci nie posyłał do szkoły rządowej, t. j. szkoły bez religii. Uprawia się tam formalną nagonkę na ludzi wyznających się katolikami — a w szkołach zohydza się wprost religię i celowo zmierza do wyrwania jej z duszy narodu. Fakt ten zacietrzewienia antyreligijnego, parodyowania idei wolności zaczyna niepokoić nawet ludzi niewierzących, ale myślących poważnie i dbałych o godność narodu i coraz częściej pojawiają się dzieła całe, wymierzone przeciw temu poniewieraniu ideału wolności i sprawiedliwości.[1])

[1]) Dodajmy tutaj obniżenie znaczne poziomu myśli u czytelników. Dawniej czytających było bez porównania mniej, to prawda, zwłaszcza czytających rzeczy poważne, naukowe — ale to byli niemal zawsze ludzie, znający przedmiot, inni wogóle do książki naukowej nie zaglądali; stąd i pisarz musiał się z tymi czytelnikami liczyć. Dziś, przeciwnie, obok garstki uczonych mamy tysiące dyletantów, którzy, nie mając gruntownego wykształcenia, a więc i fachowej znajomości przedmiotu, chciwie czytają i bezkrytycznie przyjmują rzeczy, na które uczony ledwie ramionami wzruszy. Ten dyletantyzm jest istotną plagą kultury nowoczesnej, bo liczyć się z nim niestety muszą prawdziwi uczeni i czas i zdolności tracić na zbijanie fałszów Haeckla i nonsensów Niemojewskiego, z którymi przecież przy normalnym poziomie myśli i nauki czytelników nie wchodzonoby wogóle w dyskusyę! Dla humorystyki przypomnę najnowsze dzieło Niemojewskiego, którego celem wykazać, że Chrystus nigdy nie istniał jako człowiek, że jest to zdegradowane bóstwo słońca i księżyca — i ta śmiesznie niedorzeczna teza (nie nowa zresztą — głupstwo jest wieczne) zmusiła kilku dzielnych uczonych i pisarzy do rzeczowej odpowiedzi, wymagającej oczywiście sporego nakładu pracy, którego nie warta przecież książka Niemojewskiego. Wolnomyśliciele zatem i ich dzieła to niby one »dziczki« u pnia prawdziwej nauki, które ciągnąc zeń soki, nie wytwarzają z nich jednak owoców i tylko utrudniają normalny rozwój drzewa.

[1]) Paul Seippel: »Les deux Frances«. Paris, Alcan 1905. — Emile Faguet: »L' Anticléricalisme«. Paris, Lecene 1906. — W. Monod: »Libres-Penseurs et Penseurs libres« i w. i. W dziełach tych znajdujemy rzeczy nie do uwierzenia w wieku XX: Kiedy »wolnomyśliciele« brutalnie napadli na procesyę Bożego Ciała, a policya dla utrzymania porządku ich wstrzymała (dziś i te procesye już zakazane), wtedy »obywatele zebrani we Wielkim Wschodzie (głównej loży masońskiej), oklaskują »Wolną Myśl« międzynarodową i ludzką, protestują przeciw urzędnikom zdrajcom, którzy w imię rzekomej równości uderzają na wolnomyślicieli, chcącym przeszkodzić owym religijnym maskaradom i wzywają rząd do odwołania wszystkich urzędników, mających pojęcia zacofane albo klerykalne«. (Cyt. Seippel, b. c. str. 267). Rząd też to czyni z konsekwencyą godną lepszej sprawy, jak to wykazują fakta przytaczane obficie przez prasę codzienną, a i autorów powyższych. Katolik, piastujący jakikolwiek urząd, musi się poprostu kryć ze swemi przekonaniami, inaczej urząd stracić może albo będzie pomijany w awansie.

Podobnie najwięksi wolnomyśliciele Francyi (a podobno i nie Francyi także) są zarazem obrońcami i reprezentantami pornografii w literaturze i sztuce — wszyscy oni — od osławionego Zoli poczynając — są obrońcami Wolnej Miłości, słowem, zezwierzęcenia człowieka.

Fakt ten, jakkolwiek bardzo naturalny, zastanawia przecież. Bo ostatecznie nie potrzeba być aż filozofem, by zrozumieć, że człowiek o tyle wart, o ile ma więcej cech, różniących go od zwierzęcia, o ile ta wyższa, szlachetniejsza cząstka jego istoty panuje nad tą drugą, niższą częścią zwierzęcą. Można powiedzieć, że cały postęp ludzkości, pochód jej ku temu, co zwiemy kulturą, to właśnie to ujarzmianie natury wkoło siebie, a i w sobie samym. To pierwsze: ujarzmianie natury wkoło siebie (zużytkowanie pary, elektryczności) samo absolutnie nie wystarczy jako czynnik postępu — trzeba koniecznie i tego drugiego tj. ujarzmienia natury w sobie i źleby było na świecie, gdyby na tem polu nic nie zrobiono, gdyby np. ludzkość zachowała surowość instynktów dawnych wieków, gdy za lada sporem sięgano do noża, gdyby człowiek szedł za każdym popędem natury, która chyba tylko naiwnym marzycielom może się wydawać dobrą; każdy z nas czuje w sobie, że bywa przeciwnie. Źleby było, gdyby dziecku lub starszemu pozwolono robić, co mu się podoba, słowem, gdyby zapanowała zupełna wolność i myśli i postępowania. Toż toby była poprostu anarchia!

Czy do tego dążą wolnomyśliciele? Nie wszyscy do tego rozmyślnie dążą, ale wszyscy nad tem — acz nieraz bezwiednie — pracują. Bo i dokądże ten tak zachwalany przez wolnomyślicieli, apoteozowany w prozie i poezyi indywidualizm zaprowadzi ludzkość, jeżeli nie do anarchii? Popatrzmy na Francyę, tam ten indywidualizm wybujały zaczyna rozsadzać całość tego wielkiego narodu, idea socyalistyczna zaczyna już nie wystarczać; przeciw wszelkiemu krępowaniu indywidualności ludzkiej występuje coraz śmielej anarchizm — anarchizm czysty, a więc bez Boga, ojczyzny, rodziny — bez jakichkolwiek form społecznych. To też patryoci francuscy z lękiem patrzą w przyszłość. A nam Polakom może warto posłuchać upomnień, jakie daje Francuzom jeden z najlepszych umysłów i serc dzisiejszej Francyi, niedawno zmarły Ferdynand Brunetiere: „Niechże przynajmniej wielki przykład nas pouczy — woła we wspaniałej mowie „o nieprzyjaciołach duszy francuskiej".[1]) Istniał niedawno — a dziś ledwie go sobie przypominamy — w samy środku Europy wielki naród, naród bohaterów, naród równie sławny świetnością swych obyczajów, wdziękiem swych kobiet, jak odwagą swych mężów. Był to naród dumny i naród zdolny. Cywilizacya zachodnia i całe chrześcijaństwo winne mu były wieczną wdzięczność za to, że przez całe wieki służył za przedmurze przeciw Turkom. I gdyby przymioty osobiste jednostek, które go składają, mogły uratować wielki naród z upadku, to który kiedykolwiek naród lepiejby był na to zasłużył, jeśli nie szlachetna i nieszczęśliwa ojczyzna Sobieskiego i Kościuszki? A jednak ona umarła i wiecie z jakiej choroby! To indywidualizm ją zabił; to *liberum veto*... czyż chcemy stać się Polską? Wiedzmy przynajmniej, że dotąd zmierzamy!"

[1]) Discours de Combats.

Smutno pomyśleć, że gdy doświadczenie własne na własnych dziejach i na losie coraz groźniejszym Francyi tak jasno stawia nam przed oczy zgubne skutki tego indywidualizmu, my przecież i po szkodzie swojej i cudzej zmądrzeć nie chcemy i ten indywidualizm wychwalamy w życiu i literaturze. Aż przerażenie ogarnia, gdy się czyta takie monstrualne zdanie o literaturze naszej, że ona, dawniej oddana na usługi utylitaryzmu, teraz zaczyna nareszcie spełniać potrzeby indywidualności jednostki — to tak, jakby powiedzieć komu: służyłeś dotąd społeczeństwu, dobrze, że nareszcie zaczynasz myśleć o sobie — *primus amor ab ego* — po co ci społeczeństwo? — twoje indywidualne potrzeby ważniejsze! A przecież jeśli czem nasza literatura przewyższa inne, to właśnie tem sumieniem społecznem naszych pisarzy, dla których pisanie nie było rozrywką dyletantów, ale wielkiem, szczytnem kapłaństwem idei. Pięknie i głęboko powiedział jeden z nich (którego nie tak dawno nazwano „płytkim, zdziecinniałym umysłem"), wielki Sienkiewicz, że „każda książka to czyn dobry albo zły"[1]). Jakże daleko odbiega wielu z naszych najmłodszych od tego ideału! Ileż to „czynów złych" popełnia się codziennie! U niektórych autorów to formalnie, co książka, to „czyn zły" — czyn gorszy od tylu innych, że się tak wyrażę, jednostkowych czynów, szkodzących jednej osobie; toż to czyn zbiorowy, straszny w swych następstwach, bo jego skutek rozlewa się na całe pokolenia czytelników. Ślicznie powiedział Krasiński o Mickiewiczu: „On nam był mlekiem i miodem, my z niego wszyscy". O niejednym z dzisiejszych powiedzą kiedyś: „On nam był zepsuciem i trucizną". Niechże Bóg uchowa, by mogli dodać: „My z niego wszyscy!"

W całej Europie widać coraz wyraźniejszy zwrot ku idealizmowi. Ludzie o myśli prawdziwie „wolnej" tj. wolnej od namiętności zaczynają ze wstrętem odwracać się od tego pornograficznego naturalizmu, który pod płaszczykiem sztuki chciałby duszę ludzką z wyżyn ideałów ściągnąć w bagno zwierzęcości. I czyż my Polacy, których idealizm podziwiała do niedawna Europa, mielibyśmy się dać zawstydzić innym narodom i kiedy tam z obrzydzeniem otrząsają się z brudów Zoli — którego właśnie dla tych brudów nie dopuszczono do Akademii — czyżbyśmy mieli zachwycać się tem, co inne narody uznają za truciznę ducha i serca?

A pamiętajmy, że ów indywidualizm i u nas także zachwalają, apoteozują właśnie ci, co są zwolennikami „Wolnej Myśli". Zajrzyjmy do czasopism tego kierunku, a zobaczymy tam obok artykułów wymierzonych przeciw religii, inne, jeśli nie głoszące wprost niemoralność jako zasadę, to usprawiedliwiające zło moralne, a w dziale recenzyjnym najbardziej wychwalane są właśnie powieści śliskie, brudne, z których lektury czytelnik nie może nie wyjść „mniejszym człowiekiem", bliższym zwierzęcia. I tak i u nas bez trudności skonstatować możemy tę dziwną zgodność „Wolnej Myśli" z „wolną moralnością". I gdyby nie co innego, to to jedno już winno nas odstraszyć od takiej „Wolnej Myśli", to jedno winno nam starczyć na racyę, by w tej „Wolnej Myśli" widzieć wroga ojczyzny, bo wroga prawdziwej kultury, prawdziwego postępu!

(C. d. n.)

M. Paciorkiewicz.

[1]) Listy o Zoli.

Odpowiedź autorowi artykułu „Nowy projekt".

W Nrze 50. „Gazety Kościelnej" z dnia 8. grudnia b. r. zamieścił autor X. artykuł „Nowy projekt", w którym, jak pisze, „w nadziei przysłużenia się dobrej sprawie, a po zasięgnięciu pewnych informacyi w kołach fachowych" poddał surowej krytyce projekt zawiązującego się w dyecezyi przemyskiej o. ł. stowarzyszenia „Charitas".

Wdzięczność należy się Szan. Redakcyi za umieszczenie tego artykułu — wdzięczność należałaby się autorowi X. za jego napisanie, gdyby był pisał w takiej intencyi, w jakiej umieściła go Redakcya, to znaczy w celu wyświetlenia sprawy doniosłej, chociaż na razie jednej tylko dyecezyi dotyczącej. Niestety P. X. zdradził swą nieczystą intencyę — gdyż jeszcze dnia 17 sierpnia b. r. umieścił ten sam artykuł w „Gazecie Wieczornej" Nr. 229 str. 10, który podpisał literamii C. C. Że obydwa artykuły pochodzą od tego samego autora, zdradzają nie tylko *criteria interna*, ale całe zdania, nawet całe ustępy, dosłownie w obydwu artykułach się znajdujące. Różnica jest tylko ta, że w „Gazecie Wieczornej" nie potrzebował autor X. brać na siebie maski życzliwości dla duchowieństwa, dlatego był więcej otwartym — cały projekt nazwał nierozumnym, a autorom jego nawymyślał od naiwności, optymizmu itp. Nie doczekawszy się odpowiedzi na swój artykuł, przyszedł do przekonania, że dzwonił na alarm w fałszywem miejscu — w bożnicy zamiast w kościele — dlatego ustroiwszy się w togę obrońcy Kościoła i duchowieństwa, ubrał i swój artykuł w szatę trochę przyzwoitszą i w ten sposób przemycił go na łamy „Gazety Kościelnej". W tym artykule przyznaje już projektowi Towarzystwa „Charitas" pewne zalety, alę podnosi „głównie tylko ujemne strony projektowanej organizacyi w tym celu, aby dać szanownym czytelnikom możność przypatrzenia się i odwrotnej stronie medalu".

Dopisek do tytułu artykułu, umieszczony przez Szan. Redakcyę „Gazety Kościelnej" mógłby wystarczyć za odpowiedź, gdyż cały artykuł napisany jest w obronie Towarzystwa Wzaj. Ubezp. w Krakowie. Ponieważ atoli napisany jest w celu szkodzenia zbożnej sprawie — zachwiania u Czcigodnych Współbraci wiary we własne siły, przeto korzystając ze znanej życzliwości Szan. Redakcyi dla każdej dobrej sprawy, dotyczącej duchowieństwa, prosimy o umieszczenie odpowiedzi autorowi X. i CC. na obydwa artykuły, a właściwie na jeden i ten sam, tylko w inną wedle potrzeby ubrany formę.

Na pierwszem miejscu zarzuca P. X. projektowi Towarzystwa „Charitas" nic więcej, tylko prymitywność i wstecznictwo, a to z tego powodu, że projektując zakład ubezpieczenia od ognia dla jednej tylko dyecezyi, przechodzi do porządku dziennego nad zdobyczami postępu, jakiemi są koleje, telegrafy, ułatwiona komunikacya, powstanie zasobnych zakładów ubezpieczeń i cofa się do początku 17. wieku, kiedy to kilkanaście gmin tworzyło między sobą związki, mające na celu niesienie sobie pomocy w razie pożaru, a to w budulcu, zbożu, robociźnie, a później dopiero w pieniądzach. Dlatego z ironią pyta: „Czemże zatem innem ma być „Charitas", jak nie takim partykularnym, prymitywnym związkiem, jakie już przed 200 laty istniały i przeżyły się?" Ależ szanowny autorze X.! „Charitas", jak to wynika z projektu, będzie nie prymitywnym, ale postępowym zakładem ubezpieczenia tak samo, jak wszystkie w Austryi Towarzystwa ubezpieczeń i na wypadek pożaru będzie płacić odszkodowanie nie kaszą i ziemniakami (to zostawia towarzystwu Św. Wincentego a Paulo), ale będącą w obiegu monetą w walucie koronowej. Tow. „Charitas" będzie powołane do życia, urządzone i prowadzone ściśle wedle rozporządzenia Ministerstw spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, skarbu i handlu z dnia 5. marca 1896 l. 31, d. u. p. o. — a w szczególności paragrafów 44—53, dotyczących mniejszych Stowarzyszeń wzaj. ubezpieczeń, na podstawie lokalnej, dla stowarzyszonych tego samego zawodu, z wyłączeniem pośrednictwa płatnych agentów. Tow. „Charitas" składa przepisany § 4. wspomnianego rozporządzenia kapitał zakładowy w kwocie 40.000 K — będzie podlegało nadzorowi Władzy państwowej, będzie obowiązane składać i podawać do publicznej wiadomości zamknięcia rachunków i bilans. A prócz tego będzie mieć jedną władzę nadzorującą więcej od innych Towarzystw, a to swoją Zwierzchniczą Władzę duchowną, której statut Towarzystwa przyznaje prawo zatwierdzania każdoczesnego Zarządu i nadzorowania czynności Towarzystwa przez stałego członka w radzie nadzorczej. Czyż wobec tego można projektowi „Charitas" zarzucić prymitywność i wstecznictwo? Bynajmniej! „Charitas" będzie zakładem ubezpieczenia, dającym taką samą gwarancyę, jaką dawały wszystkie Towarzystwa krajowe w początkach swego istnienia — będzie tworzyć takie same prawem przepisane rezerwy premii, jak inne zakłady oparte na wzajemności, z tą tylko różnicą, że wzajemność będzie pojmować trochę szerzej, a nie jako obowiązek płacenia jednej a prawo brania drugiej strony.

W dalszym ciągu wyraża autor X. obawę, „że Towarzystwo „Charitas" jako operujące na szczupłym terenie jednej tylko dyecezyi, projektując nadto znaczne obniżenie taryf, nie będzie w stanie dotrzymać przyjętych na siebie zobowiązań tem bardziej, że nie jest rzeczą pewną, czy czynniki decydujące w konkurencyi parafialnej zgodzą się na ubezpieczenie kościołów i budynków parafialnych w Towarzystwie, które nie daje takiej gwarancyi bezpieczeństwa, jak inne zasobne zakłady asekuracyjne".

Czy autorowi X. nie wiadomo, że dość spora liczba osób moralnych i właścicieli większych posiadłości, posiadających kilkadziesiąt folwarków, ubezpiecza się przed szkodą ogniową u siebie i zawsze z korzyścią? Moglibyśmy służyć w razie potrzeby bliższemi informacyami. Dlaczegożby dyecezya, mająca setki przedmiotów ubezpieczonych — płacąca rocznie 24.000 K premii, nie mogła z korzyścią prowadzić takiej asekuracyi? Cyfry mówią przekonywająco! A możemy zapewnić Szan. autora X., że zawarte w projekcie daty statystyczne nie są wzięte z powietrza, lecz są owocem skrupulatnych zestawień, zbieranych w dyecezyi przemyskiej przez lat 20. Jest za-

tem faktem niezbitym, że gdyby dyecezya przemyska wprowadziła była własne ubezpieczenie przed laty 20 i pobierała premie w tej wysokości, w jakiej pobierały je Towarzystwa, w jej granicach operujące, posiadałaby dzisiaj kapitał zakładowy przeszło 320.000 K, które przypadły w zysku Tow. ubezpieczeń po opłaceniu szkód ogniowych i wypłaceniu członkom dywidendy! A jest nietylko prawdopodobieństwo, ale prawie pewność, że przyszłość nie zmieni się pod tym względem na gorsze, bo i niebezpieczeństwo pożaru jest dzisiaj znacznie mniejsze skutkiem tego, że drewniane kościoły i budynki parafialne należą już do wyjątków. Mimo znacznego zniżenia premii, które autor X. zarzuca projektowi, pobierać będzie „Charitas" prawie takie same premie, jak i inne Towarzystwa krajowe, gdyż obniżenie premii spowoduje najprzód brak agentów w Towarzystwie, którzy pobierają co najmniej 9%, dalej opust 10%, który przyznaje Towarzystwo ubezpieczającym się stale, a przynajmniej przez 10 lat, w tem samem Towarzystwie, wreszcie znacznie mniejsze koszta administracyi Wiemy o jakich to czynnikach, decydujących w konkurencyi parafialnej, mówi autor. Niestety z bolem serca konstatujemy, że znaczny procent tych czynników na nieszczęście dla naszego społeczeństwa nosi pejsy, a na dwieście deklaracyi dotąd złożonych, tylko w trzech wypadkach stanęły na przeszkodzie te czynniki decydujące (?) i to dlatego, że piastują intratne posady w innych Towarzystwach ubezp. Żyjemy przecież w państwie konstytucyjnem i każdemu wolno wybierać to, co mu dogodniejsze, mniej obciąża jego kieszeń i do czego ma większe zaufanie. Tow. „Charitas" niema jeszcze pretensyi do zaufania, bo jeszcze nie weszło w życie, ale prowadzeniem zakładu, choćby nie gorszem od innych, będzie się starało na zaufanie zasłużyć, natrętnem jednak nigdy nie będzie.

Straszy P. X. czytelników kosztami administracyjnemi nieproporcyonalnie wielkiemi w stosunku do pobieranych premii 24.000 K. Wcale mu się nie dziwimy Pozostając w ścisłym związku z jednem z Towarzystw, nie wyobraża sobie administracyi zakładu bez jedno lub dwu piątrowej kamienicy, całego zastępu (jak pisze) wyszkolonych pracowników, woźnych w uniformach, maszyn do pisania, telefonów i t. p. udogodnień. Ależ tego wszystkiego w Tow. „Charitas" nie będzie i na tym punkcie musimy niestety do siebie zastosować zarzut prymitywności. Jedna sala i to bezpłatnie do użytku Towarzystwa oddana, czterech kapłanów, poświęcających swe wolne od obowiązków chwile, bez pretensyi na razie do wynagrodzenia, jeden świecki człowiek, wyszkolony w buhalteryi, a ofiarujący swą pracę również bezinteresownie (temu pewno autor X. nie uwierzy), oto cała administracya. Prawda, potrzeba będzie jeszcze trochę atramentu, parę setek arkuszy papieru, trochę druków, opłata portoryum — no ale to chyba nie pójdzie w tysiące koron i nie pochłonie co najmniej 30 - 40% premii, jak w innych Towarzystwach.

Obawia się P. X., że jeden większy pożar może pochłonąć premie z całego roku a może i szeregu lat. Rachuje on na krótką metę, a tymczasem działalność Towarzystwa obliczona na szeregi lat. Może Towarzystwo w jednym lub drugim roku ponieść straty, może znaleźć się nawet w potrzebie sięgnięcia do funduszu gwarancyjnego, ale przecież w szeregu lat będzie w stanie stratę powetować. Towarzystwa ubezpieczeń, w których ubezpieczone są całe miasta i wioski, więcej są narażone na dotkliwe straty w razie pożaru jednego miasta lub wsi, niż Towarzystwo, ubezpieczające przedmioty rozsiane pojedynczo lub po kilka obok siebie na przestrzeni 410 mil kwadratowych, które zajmuje dyecezya przemyska. To chyba nie trudne do pojęcia. Czyż zresztą które Towarzystwo ubezpieczeń upadło z powodu strat poniesionych?

Jako odstraszający przykład, mający autorów projektu „Charitas" skłonić do porzucenia zapoczątkowanego dzieła, a innych kapłanów powstrzymać od popierania tej myśli, podaje autor X. los Towarzystwa „Unio Catholica". Czy to nie za wiele naiwności, sądzić, że między czytelnikami „Gazety Kościelnej" nie żyją już kapłani, którymby historya Tow. „Unio Catholica" była znaną? Wszak to dopiero lat kilkanaście od jej upadku, którego powodem było nie wadliwe urządzenie, nie byłoby bowiem otrzymało koncesyi państwowej, lecz nieuczciwość ludzka, czyli mówiąc bez osłonek — kradzież. Jeżeli P. X. nic o tem nie wie, to niech się rozpatrzy w tej sprawie w aktach c. k. Sądu karnego we Lwowie, a wtedy będzie mógł dać przestrogę nie przed założeniem, ale przed nieuczciwem prowadzeniem Towarzystwa.

Nie może się autorowi X. pomieścić w głowie, jak może Tow. „Charitas" obiecywać, że będzie, w razie zupełnego zniszczenia przedmiotu ubezpieczonego przez pożar wypłacać pełną ubezpieczoną wartość, bez odtrącenia pewnego procentu za zmniejszenie wartości czyli zużycie. My również nie możemy zrozumieć, z jakiego powodu Tow. ubezpieczeń pobierają premię od pewnej ubezpieczonej wartości np. 1000 K, a w razie zupełnego zniszczenia przez ogień wypłacają 800 lub 900 K, niby z tego tytułu, że przedmiot ubezpieczony w chwili pożaru nie przedstawiał już wartości 1000 K. A do wymiaru premii miał tę wartość? Nie wiemy, czy — jak autor twierdzi — wymaga tego technika asekuracyjna, nie zdaje nam się również, żeby wszystkie Tow. ubezp. tak postępowały — ale to wiemy, że takie postępowanie jest niesprawiedliwością, przed którą chcemy Tow. „Charitas" uchronić tem bardziej, że tu się rozchodzi o budynki, które skutkiem nadzoru komitetu paraf., ingerencyi władzy państwowej przy zabezpieczaniu temporaliów, nadzoru władzy duchownej w czasie wizyty dekanalnej i kanonicznej powinny zawsze znajdować się w dobrym stanie.

Bardzo nie podoba się autorowi X. likwidacya szkody, jak mówi, „na oko", to znaczy, że Tow. „Charitas" zamierza powierzyć tę czynność X. dziekanowi w porozumieniu z miejscowym X. proboszczem. Nie widzimy powodu do zarzutu z tego tytułu, boć przecie do ocenienia szkody w przedmiocie ubezpieczonym na pewną kwotę nie potrzeba nadzwyczajnych studyów technicznych — nawet Tow. krakowskie deleguje czasami dla zmniejszenia sobie kosztów likwidacyi, kapłanów z okolicy lub wyznaczonych na pewne okręgi ludzi, którzy nic wspólnego nie mają z techniką!

Biada P. X. nad tem, że Tow. „Charitas" „jako instytucya o tak małych rozmiarach będzie

się musiała niemal w całości oprzeć na reasekuracyi, skutkiem czego wysoki procent premii pójdzie po za granice kraju a zyski okażą się iluzoryczne". Daruje Szan. autor X., ale w projekcie Tow. „Charitas" niema mowy o tem, aby się reasekurować w Towarzystwach zagranicznych. Owszem członkowie założyciele Tow. mają właśnie szczery zamiar zwrócić się w tej sprawie do Towarzystwa wzaj. ubezp. w Krakowie. Wszakże, jak sam autor twierdzi, ubytek rocznych 20—30 tysięcy koron, nie zaważy bynajmniej na bilansie Tow. krakowskiego, które posiada majątku zakładowego przeszło 60 milionów koron i zbiera rocznie z górą 13 milionów koron premii asekuracyjnych. Jeżeli Tow. krakowskie zrozumie intencye i cele Tow. „Charitas", to kapitały z pewnością nie pójdą za granicę. Czy zaś korzyści spodziewane będą iluzoryczne, przyszłość pokaże.

Całkiem niesprawiedliwym i autorów projektu krzywdzącym jest zarzut, że „impulsem do powstania projektu całej organizacyi było stwierdzenie bogacenia się różnych świeckich Towarzystw kosztem księży".

Myślą przewodnią autorów projektu nie była stanowczo zazdrość, lecz pragnienie znalezienia środków ku zaradzeniu z dniem każdym mnożącym się potrzebom duchownym dyecezyi, zwłaszcza na wschodnich jej kresach — jak nie mniej chęć polepszenia bytu i zabezpieczenia środków materyalnych współbraciom na wypadek niezdolności do pracy i na starość, aby przez to uwolnić ich bodaj częściowo od troski o chleb powszedni i podnieść wydatność ich pracy. Wykazane zyski Towarzystw świeckich w ostatnich latach 20 miały być tylko dowodem, że środki są, trzeba umieć tylko z nich korzystać.

Szumnie to wygląda, gdy autor X. pisze, że Tow. krakowskie nie ciągnie żadnych zysków ze swoich operacyi, ale zyski te rozdziela rokrocznie między swych członków, a nadto daje stałą prowizyę wszystkim dyecezyom, osobne datki stowarzyszeniom humanitarnym i religijnym, komitetom budowy i restauracyi kościołów, które to datki uczyniły w przeciągu lat 50 aż 100.000 koron. Przyznajemy, że Tow. krakowskie daje swym członkom dywidendę, bo jako na wzajemności oparte, jest do tego obowiązane. Wiemy także, że to Towarzystwo dawało członkom w pierwszych 30 latach dywidendę 20—30%, a w ostatnich latach niestety nie wiele po nad 10%, za rok zaś 1910 tylko 9%. Co sądzić o tych hojnych ofiarach na cele religijne i humanitarne, to wiedzą czcig. Czytelnicy z dopisku Szan. Redakcyi w odnośnem miejscu. Nie zaprzeczamy również, że dyecezye dostawały pewien ryczałt na potrzeby religijne, np. dyecezya przemyska po długich targach 1.000 K rocznie na opłacanych z górą 24.000 K premii. Jedyne znaczniejsze subwencye otrzymały obecnie z okazyi 50-letniego jubileuszu Tow. dyecezya lwowska (10.000 K) i przemyska (5.000 K). Czy jednak te datki nie zostały spowodowane ukazaniem się w porę projektu Tow. „Charitas", nie chcemy przesądzać.

Znacznie łaskawszym i pobłażliwszym okazał się autor X. dla drugiego działu projektu, t. j. ubezpieczenia renty, a zawdzięczamy to jedynie tej okoliczności, że żadne z Towarzystw krajowych niema podobnego ubezpieczenia. Dlatego autor zaznaczył tylko, że chociaż projekt wzorowany jest na statucie kasy zapomogowej „Emeriten-Verein des katholischen Klerus" w Wiedniu, to przecie ma taryfy niższe od zatwierdzonych przez ministeryum dla wspomnianej kasy i nie daje odpowiedniego pokrycia dla przyjętych zobowiązań. Rozmyślnie, dla wprowadzenia w błąd Czytelników, przemilczał autor o tem, co mówi projekt wyraźnie na str. 18, że taryfy podane są tylko prowizorycznie dla objaśnienia celu i działalności Tow. i że po zebraniu deklaracyi będą dla Tow. opracowane taryfy przez autoryzowanego technika asekuracyjnego. To się już stało i będzie P. X. mógł wydać swój sąd o taryfach, gdy mu się dostanie do rąk statut Towarzystwa. Czyni też zarzut projektowi, że przewiduje już w pierwszych 5 latach zapomogi w razie choroby członków, opłatę premii za nich aż do lat 5, aby mogli nabyć prawo do najmniejszej renty rocznych 150 K, jak nie mniej obniżenie premii po 5-letniem istnieniu Towarzystwa. Czy P. X. nie doczytał już do końca 18 stronicy projektu? Czy nie chce przyznać się do tego, aby jego zarzuty choć trochę wydały się uzasadnione? A przecież na cytowanej stronie mówi projekt wyraźnie, że te zapomogi i ulgi dla członków będą pokrywane z odsetek od kapitału 100.000 K, który Towarzystwo będzie mieć od dobrodziejów do dyspozycyi właśnie na ten cel, nie licząc już nawet datków członków wspierających, których jak dotąd ma zapewnionych rocznie 1200 K; wszak tego przecie nie zabrania technika asekuracyjna — zaleca zaś bardzo „Charitas" czyli miłość! Gdy zaś po upływie lat 5 ciu Towarzystwo będzie miało już obowiązek wypłacać renty i cały kapitał 100.000 K wraz z datkami członków wspierających przejdzie do funduszu zakładowego — czy nie wpłynie to na obniżenie premii? Aby to przyznać, nie trzeba chyba być technikiem asekuracyjnym. Ostatni zarzut dotyczący wypłacania pełnej renty 1200 K po dojściu do 65 roku życia członkowi, który otrzymał już przedtem rentę i przestał wkładkę opłacać, jest zupełnie słuszny. Ale niech się P. X. pocieszy, bo to była pomyłka, a raczej *pium desiderium*, aby i takim kapłanom przyjść z wydatniejszą pomocą w ostatnich latach życia. Skoro się jednak okazało, że według zasad techniczno-asekuracyjnych jest to niemożebnem, została myśl ta porzuconą i w statucie autor jej więcej nie znajdzie. Projekt jest projektem, mogły się wkraść do niego pomyłki — mogą się znaleźć i w statucie. Wszak Towarzystwo wzajemnych ubezp. w Krakowie w przeciągu pierwszych 30 lat zmieniało i poprawiało swój statut 15 razy, zanim doszło do wzorowego statutu, którym się dzisiaj rządzi. I my każdą słuszną uwagę chętnie przyjmiemy i nie omieszkamy z niej korzystać.

Żałujemy bardzo, że autor X. nie zakończył swego artykułu w „Gazecie Kościelnej" tak samo, jak go zakończył w „Gazecie Wieczornej", a mianowicie:

„Mojem zdaniem, przy dobrej woli, mogłoby duchowieństwo przemyskie uzyskać o wiele lepsze warunki ubezpieczenia i zarazem większą gwarancyę w drodze odpowiednich układów z krajową instytucyą, niż zakładając nowe dyecezyalne Tow. ubezpieczeń".

Sądził prawdopodobnie, że kiedy od tylu miesięcy nie słyszał nic nowego o projektowanem Tow., to prawdopodobnie niema już powodu wyciągania ręki do zgody. Dlatego wolał zakończyć z emfazą temi słowy: „Nie możemy tego pomysłu ani z praktycznych względów ani poniekąd z obywatelskich (?) nazwać trafnym Obowiązek nakazuje nam (komu?) przestrzedz czcig. kapłanów w dobrze zrozumianym interesie ich własnym i Kościoła przed wdawaniem się w ryzykowne przedsiębiorstwo, mogące zamiast optymistycznie przewidywanych zysków wyrządzić nieobliczalne szkody". Oj szkoda, że tego nie może przeczytać Imć Pan Zagłoba, bo z pewnością powiedziałby, jak ongi do posła szwedzkiego w Zamościu: „Ubrał się dyabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni".

Czując od pierwszej chwili na każdym kroku nagonkę, jaką urządza pewne Towarzystwo (nie powiemy które), aby tylko myśl założenia projektowanej instytucyi zabić w samym zarodku, widząc jasno z artykułów umieszczanych w czasopismach, jakich środków będzie jeszcze używać to Towarzystwo, gdy sprawa stanie się aktualną, pracujemy przy pomocy doświadczonych prawników i techników asekuracyjnych i da Pan Bóg, że mimo złej woli ludzkiej będzie mógł autor X. poddać ostrzejszej jeszcze krytyce już nie projekt, ale samo Towarzystwo „Charitas".

W Przemyślu, dnia 12. grudnia 1911.

Autorzy projektu Tow. „Charitas".

KRONIKA KOŚCIELNA.

Bluźnierstwa żydowskie i zgorszenia w naszych szkołach. Na co są dzisiaj wystawione dzieci katolickie w publicznych szkołach galicyjskich, pokazało się znowu w ostatnim czasie z faktu następującego, stwierdzonego urzędownie: oto w Tuchowie dowiedział się X katecheta szkoły tamtejszej, że w drugiej połowie maja r. b. kiedy przygotowywał dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św., trzy uczenice żydówki wyszydzały religię katolicką wobec koleżanek wyzn. katol., a mianowicie jedna z nich powiedziała, iż „katolicy w Komunii św przyjmują psa", druga, że „wiara katolicka to wściekły pies", a trzecia: „Gdybyś ty wiedziała, co Matka Boska zrobiła, tobyś w nią nie wierzyła"!

Wszystko to stwierdzono protokolarnie i wydalono te trzy żydówki ze szkoły. Nie potrzebujemy jednak dodawać, że takie mowy, w najwyższym stopniu gorszące, muszą wywierać wpływ jak najszkodliwszy na dziatwę katolicką która słyszy tego rodzaju bluźnierstwa już w czasie, kiedy z największem przejęciem przysposabia się do pierwszej Komunii Rzecz naturalna, że żydówki tego same nie wymyśliły, ale musiały słyszeć te zdania w domu rodzicielskim. Sądzimy, że i największy zwolennik utopii asymilacyjnej i wspólnego wychowania dziatwy naszej z żydowską, powinienby zachwiać się w swojem przekonaniu wobec takich faktów, które nie są bynajmniej odosobnione, a dowodzą bezdennej nienawiści, powszechnej między żydami, przeciwko chrześcijaństwu! *P.*

Zjazd duchowieństwa ruskiego. Donosiliśmy już o zorganizowaniu się, a raczej o zreorganizowaniu się ruskiej partyi chrześcijańsko-socyalnej pod przewodnictwem p. Barwińskiego. Partya ta rozwinęła żywą działalność, przedewszystkiem wśród duchowieństwa ruskiego i dość szybko poczęła sobie jednać zwolenników wśród umiarkowanych warstw społeczeństwa ruskiego, znużonych bezpłodną walką i przestraszonych radykalizmem wszelkiego rodzaju, wnoszonych w lud ruski przez wszystkie agitacye. Ilość prenumeratorów „Rusłana", organu ruskiej partyi chrześcijańsko-socyalnej, wzrosła w tym krótkim czasie w dwójnasób. Ten rozwój partyi p. Barwińskiego wzbudza obawę wśród ukraińskich narodowych demokratów; przeważna część księży ruskich do nich dotąd należała, przez tych księży najsilniej oddziaływali oni na lud ruski; gdyby duchowieństwo ruskie z ich szeregów się usunęło, straciliby najżywotniejsze swoje siły. To też ukraińska narodowa demokracya natychmiast rozwinęła kontrakcyę dla zatrzymania duchowieństwa ruskiego przy swojej partyi. Ponieważ poważniejsi księża ruscy byli niezadowoleni, a nawet oburzeni z powodu antykatolickiego kierunku, jaki w ostatnich latach objawił się na szpaltach głównego organu ukraińskiego „Diła", zmieniono skład redakcyi „Diła" i powołano na naczelnego redaktora p. Kusznira, wydawcę „Ukrainische Rundschau" w Wiedniu. Zaprzestało też „Diło" wycieczek przeciw Cerkwi i duchowieństwu. Mimo to księża ruscy coraz liczniej przechodzili do partyi chrześcijańsko-socyalnej. Wywiązała się między temi obiema partyami ruskiemi: narodową demokracyą i chrześcijańsko-socyalnymi, jedyna w swym rodzaju walka: walka o duchowieństwo. Wreszcie narodowa demokracya zwołała zjazd księży ruskich ze wszystkich trzech dyecezyi, aby księża publicznie i głośno oświadczyli się, przy kim stoją. Posłużono się przytem niezbyt maskowanym terrorem, bo dodano: kto czuje się narodowcem, ten zostanie z nami. Ale posługiwanie się terrorem stało się codzienną bronią u wszystkich radykalnych partyi.

Zjazd ten duchowieństwa ruskiego ze wszystkich trzech dyecezyi odbył się 7-go b. m. we Lwowie „Diło" twierdzi, że zebrało się przeszło 400 księży i wyraza im uznanie za to, że nie mówili o żadnych innych sprawach, jak tylko o narodowych.

Referował X. Teodor Sawojko. Dał najpierw przegląd rozwoju i życia narodu ukraińskiego w ostatniem stuleciu; potem opowiadał o wszystkich „krzywdach" ruskich, aż wreszcie przeszedł do ostatnich polsko-ruskich rokowań, prowadzonych w Wiedniu. Zdaniem X Sawojki, zaproszenie prezesa Koła polskiego do podjęcia tych rokowań z klubem ruskim, było tylko manewrem polskim raz, aby uspokoić najwyższe sfery państwowe, powtóre. aby uśpić czujność narodu ruskiego Aby te rokowania wydać mogły jaki rezultat, sami Polacy nie wierzą I dlatego wyszukują w pośród społeczeństwa ruskiego elementy bardziej podatne, któreby dały użyć się do ugody takiej, jakaby zapewniła Polakom dalsze panowanie nad narodem ukraińskim. Korzystając z niezadowolenia, które objawiło się w części kleru ruskiego z powodu radykalnej agitacyi antycerkiewnej, przystąpili Polacy do zorganizowania ruskiej partyi chrześcijańsko-socyalnej, aby ta, podnosząc hasło obrony cerkwi i duchowieństwa, odciągnęła duchowieństwo od partyi narodowej, a sama, osłabiwszy naród ukraiński przez jego rozbicie, dała się użyć do polsko-ruskiej pseudougody na warunkach, korzystnych dla Polaków. Duchowieństwo ruskie jednak nie może przyłożyć ręki do takiej ugody, któraby schodziła poniżej minimalnych warunków, postawionych przez obecną reprezentacyę ruskiego narodu; Polacy zawiodą się w swoich nadziejach, jakie żywili, pokazując ruskiemu duchowieństwu proporzec chrześcijańsko socyalny.

Długi swój referat zakończył X. Sawojko postawieniem szeregu rezolucyi, z których pierwsza wzywa duchowieństwo ruskie, aby nie poprzestawało tylko na pracy cerkiewnej, lecz szło w naród i rozwinęło gorącą działalność na wszystkich polach. Dalsza rezolucya wzywa duchowieństwo i tych, którzy w dobrej wierze dali się wciągnąć do akcyi chrześcijańsko-socyalnej, aby z tej drogi za-

wrócili i solidarnie stanęli przy narodzie dla narodu. Inne wreszcie rezolucye wzywają do przeciwdziałania propagandzie prawosławnej. szerzonej obecnie w Galicyi i do przeciwdziałania radykalnej agitacyi antyreligijnej.

Wszystkie te rezolucye przyjęto przez aklamacyę, co znaczy, że obecni na tem zgromadzeniu księża ruscy obwołali się przy ukraińskiej narodowej demokracyi, a przeciw ruskiej partyi chrześcijańsko-socyalnej.

Przed zamknięciem zgromadzenia uchwalono jeszcze na wniosek X. Stefanowycza protest przeciw budowaniu kościołów i kaplic łacińskich we wschodniej Galicyi.

Rezolucye te i ten protest rzucają nowe, a niekorzystne światło na prądy, które nurtują i biorą górę wśród znacznej części duchowieństwa ruskiego. Bojąc się osłabienia radykalnej partyi narodowej, zwalczają ci księża stronnictwo „Rusłana", które powstało pod egidą Najprz. Episkopatu ruskiego. Czyż wobec tego nie wolno nam mówić, że znać u wielu księży ruskich „upadek wiary i ducha kościelnego" i czy stwierdzając to ze smutkiem głębokim, zasługujemy na nazwę „Rusinożerców", którą częstuje nas „Nywa" (w Nrze 23 z r. b. str. 733)? — Czy także X. Dr. Szczepkowicz i podobnie myślący Rusini stali się przez to zdrajcami i wrogami swego narodu, że potępiają radykalizm ukraiński i nie zgadzają się z „Nywą"?

A ów protest przeciw budowaniu kościołów we wschodniej Galicyi, — czy jest dowodem żywej wiary i dobrego pojęcia katolicyzmu? Czy można żądać ze stanowiska kościelnego, żebyśmy opuścili lud nasz na Wschodzie i wydali go na pastwę rusczyzny? Takie uchwały okazują nam tylko jeszcze lepiej straszne niebezpieczeństwo, grożące temu ludowi i powinny nas zachęcać do tem gorliwszej pracy dla jego dobra.

Z Wiednia. W sprawie konferencyi religijnych dla oficerów (o których pisaliśmy już w Nrze ostatnim) zabrał głos w „Pastoralblatt für die k. u. k. Militar- und Marinegeistlichkeit" sam Wikaryusz polny apostolski Msgr. Bielik. Wyjaśnia on najpierw, jaka jest różnica pomiędzy „rekolekcyami" a konferencyami zamierzonemi, poczem mówi o znaczeniu religijności dla armii w naszych właśnie czasach, a dalej pisze bardzo dobrze o obawie, jaką wywołały u niektórych księży wojskowych ataki i interpelacye, spowodowane wprowadzeniem tych konferencyi: „Skąd ta bojaźń? Czy nam katolikom w Austro-Węgrzech nie wolno już czcić naszego Boga, wyznawać naszej wiary? Czyśmy już zaszli tak daleko, że musimy prosić o zezwolenie i o placet z pewnej strony, kiedy chcemy posłuchać kazania, konferencyi religijnej, albo zrobić choćby tylko znak krzyża?.. Niechaj gorliwość wasza nie osłabnie, jakkolwiek wielkie byłyby przeszkody, gwałtowne i liczne napaści. Przyjąłem z radością do wiadomości, że w 40 blizko garnizonach mają głosić wybitni kaznodzieje w czasie postnym konferencye religijne". W końcu wyraża Msgr. Bielik nadzieję, że konferencye te, do których zresztą nie wolno nikogo zmuszać, podniosą ducha religijnego i że skierowane przeciwko nim ataki i karykatury nie wywrą na nikogo wpływu. (Jak nam doniesiono, zamieściło pismo humorystyczne „Die Muskete" karykaturę, wyszydzającą myśl urządzania „ćwiczeń religijnych" dla oficerów). *P.*

Ważne rozstrzygnięcie. Trybunał administracyjny z okazyi pewnego specyalnego wypadku rozstrzygnął, że dzieci katolickich rodziców muszą być chrzczone. Ten obowiązek nie ustaje i wtedy, gdyby rodzice uznali się bezwyznaniowymi, bo według ustawy dziecko wprawdzie do 7 roku należy do wyznania rodziców, jednakże bezwyznaniowość nie jest wyznaniem; rozstrzygające jest więc wyznanie poprzednie

Z Rzymu. Kongres ormiański zakończono uroczyście 13. b. m. Patryarcha Cylicyi Paweł Piotr XIII. Terzian odprawił w kościele S. Nicolo da Tolentino sumę w obrządku ormiańskim, poczem odbyło się ostatnie posiedzenie publiczne. Po południu wygłosił J. E. X. Arcyb. Teodorowicz po włosku kazanie o „Leonie XIII. i Piusie X". Po Te Deum udzielił błogosławieństwa J. Em. Kardynał Vives y Tuto.

Młodzież w Prusiech. W dziwnej łączności jednego z głównych punktów programu socyalistycznego z konserwatywną ideą państwową, dokonano w sąsiedztwie naszem na zachodzie amputacyi, której skutki nietylko społeczeństwo lecz i sami ustawodawcy odczuwają najboleśniej. W Niemczech pod naporem przemożnych w czasie walki kulturnej kół liberalnych, nastąpiło wykreślenie religii jako społecznej wartości z planu instytucyi wychowawczych. Zaprowadzenie szkół bezwyznaniowych i oddanie nauki religii w ręce nauczycieli świeckich, w pierwszej linii skierowane było przeciw duchowieństwu katolickiemu i chociaż po wyprawie Bismarka do Canossy nastąpiło równouprawnienie wyznań, system szkolny Falka pozostał ten sam. Lecz jak często bywa, ostrze miecza, skierowane przeciw opiekunom duchownym, padło na ich pupilów, na społeczeństwo i, co za tem idzie, na państwo.

Statystyka Niemiec wykazuje zastraszający wzrost występków młodzieży, samobójstw i zamachów na pedagogów. Wygórowana ambicya, obrażona duma, odmówienie promocyi, pierwsze miłostki i zepsucie wielkomiejskie wciskały broń w rękę niejednemu, rozpacz rodziców i utrata zdolnego skądinąd młodego obywatela były skutkami targnięcia się na życie własne, czy cudze. A równolegle idą i objawy inne. Mnożą się kradzieże, oszustwa, objawy dzikości i rozpasania w młodem pokoleniu. Sądy młodocianych osób i przymusowe domy wychowawcze wymownym przemawiają językiem.

Rodzice, wychowani już po części w tych samych zasadach, co ich dzieci, nie dbają o religijne wychowanie młodzieży, o wpojenie jej etyki chrześcijańskiej, która każe szanować godność osobistą i cudzą. Młodzież przejmuje się sceptycyzmem, a nieraz źle ukrywaną nienawiścią nauczyciela świeckiego przeciwko wierze. W polskich dzielnicach związek nauczycieli „katolickich" zajmuje wrogie stanowisko wobec ludności polskiej, popiera jawnie dążenia hakatyzmu, a przy wyborach oświadcza się za protestantami, liberałami i żydami, gdy chodzi o przechylenie szali na rzecz kandydata niemieckiego. Nauczyciel katolik chodzi do kościoła po to tylko, aby szpiegować i denuncyować księdza, żeni się z protestantką i wychowuje dzieci w wyznaniu ewangelickiem. Taki pedagog, a jest ich przeważająca większość, który za postępy niemczyzny i protestantyzacyi otrzymuje dodatki kresowe, jest wychowawcą katolickiej młodzieży polskiej.

Po zniesieniu polskiego wykładu religii w szkołach ludowych dziecko modli się i uczy prawd wiary od siódmego roku życia w obcym, niezrozumiałym języku. Protest głośny przed trzema laty ludności polsko-katolickiej został złamany karami administracyjnemi, przyczem rząd z początku bezradny, powoływał się na ustawy, wydane 100 lat temu.

I oto dzisiaj sam musi przyznać, że droga, na którą wkroczył, zgubne wydała owoce. Rozporządzenie pruskiego ministra oświaty, niedawno wydane, nie przyznaje otwarcie przyczyn zdziczenia i deprawacyi młodzieży. Trzebaby przecież wtedy znieść symultanizm i wrócić do szkoły wyznaniowej, a wykład religii oddać znów duchownym. Jest on zdania, że zmiana zarobkowania tak ujemnie wpłynęła na społeczeństwo, rodzinę i młodzież. Aby zapobiedz dalszemu zwyrodnieniu młodego pokolenia, nakazuje tworzyć obwodowe wydziały opiekuńcze, podporządkowane organizacyom wyższym powiatowym i prowincyonalnym. Zadaniem ich powoływać do życia związki młodzieży i popierać istniejące już stowarzyszenia, dążące do umoralnienia i wykształcenia młodzieży.

Środków materyalnych ma dostarczać państwo. Praca zaś moralna i idealna nad młodzieżą od 14—20 roku ży-

cia ma iść w kierunku podwójnym: wykłady społeczne, historyczne i cywilizacyjne, wieczornice z współudziałem młodzieży i rodziców, wycieczki i zwiedzanie muzeów, zabytków i nowoczesnych nabytków kulturalnych obejmuje część pierwsza. Druga poświęcona godziwej rozrywce: zabawy, gimnastyka, organizacya w odpowiednich lokalach, czytelnie zajmować mają czas i umysł młodego pokolenia w jego wieku przejściowym.

Zamiary, z ogólnego punktu widzenia, są szlachetne i uznania godne. Nie wchodzą jednakże *in medias res.* System szkolny pozostaje ten sam. Trudno krzewić dalsze umoralnianie, gdy go niema od podstaw samych. Mimo to na zachodzie państwa, gdzie panuje jednolitość pod względem językowym i szkołą nie kierują względy polityczne, zabiegi te mogą przynieść wyniki pomyślne.

W dzielnicach zamieszkałych przez ludność polską, gdzie najlepsze zamysły paczą zakusy germanizacyjne, gdzie nieograniczoną władzę sprawują landraci, komisarze, burmistrze i policya i wszelki odruch polskiego społeczeństwa, w kierunku zachowania młodemu pokoleniu religii, etyki i ideałów, zgniatany bywa żelazną pięścią — wydziały opiekuńcze dalszym tylko będą etapem rozterki duchowej młodzieży.

Odrębna zaś akcya społeczeństwa polskiego, podejmowana niejednokrotnie w tymże samym kierunku i teraz — mimo rzekomego nowego kursu — spotka się z oporem władzy państwowej. Dowodem tego chociażby Śląsk, gdzie wszelka organizacya młodzieży polskiej w celach oświatowych i kulturalnych bywa dotkliwie karaną.

Tym sposobem jedyną ostoją religijnego katolickiego wychowania młodzieży polskiej w Prusach pozostanie tylko — dom rodzicielski. *T. J.*

Masonerya w Anglii. Dziennik „Morning Post", w godnym uwagi artykule omawia potężną rolę, jaką masonerya odgrywa w polityce kontynentu, zwłaszcza we Włoszech, Francyi i Turcyi. „Charakterystyczną cechą masoneryi — mówi autor — jest wiekowa nienawiść do Kościoła katolickiego, Jezuitów i tronu". Dla nas oświadczenie podobne nie zawiera nic nowego. Zdumiewać jednak musi nieco pod piórem Anglika, przyzwyczajonego upatrywać w masoneryi swego kraju „zacne towarzystwo filantropijne", które nietylko nie zwalcza tronu i ołtarza, lecz owszem występuje zawsze jako ich serdeczny sprzymierzeniec, żyje z nimi w najlepszej zgodzie i na uroczystościach swych gromadzi śmietankę towarzystwa angielskiego.

Istotnie, gdy prawie wszystkie loże kontynentu wyraźnie zdradzają tendencye republikańskie, masonerya w Anglii ma sobie za zaszczyt powierzać najwyższe swe godności członkom rodziny królewskiej. Przez długi czas Edward VII., jeszcze jako książę Walii, był Wielkim Mistrzem. Następnie objął ten urząd brat jego, książę Connaught.

Kościół anglikański żył zawsze w jak najlepszej komitywie z masoneryą. Nikomu nie tajno, że kilku biskupów anglikańskich są czynnymi członkami lóż. Kler niższy naturalnie idzie za tym przykładem i z całą słusznością przypuszczać można, że przynajmniej trzecia część ministrów urzędowego kościoła należy do masoneryi. Między kościołem tym a lożami istnieje komunikacya publiczna, której nikt nie ukrywa, a tembardziej nie zaprzecza.

Fakta, świadczące o tym stosunku, są zarówno liczne jak znamienne. Prawie w każdym większym kościele anglikańskim znajduje się kazalnica, witraż lub ołtarz fundacyi loży miejscowej, z odpowiednim napisem. Niekiedy hojność masonów sięga jeszcze dalej. Dowodem choćby wiadomość, która niedawno obeszła prasę, że loże budują własnym kosztem nowy kościół anglikański w jednem z południowych miast Anglii.

Jako przykład serdecznych stosunków między kościołem anglikańskim a masoneryą może posłużyć to, co dzieje się w pewnem miasteczku w centrum kraju. Loża była tam nie „otworzona", lecz „poświęcona", co oznacza ceremonię religijną przy inauguracyi. Ma prawie zawsze kapelana, który należy do kleru miejscowego, albo pracuje w jednej z sąsiednich wiosek. Kapelan stale figuruje w rocznikach obok innych dygnitarzy bractwa. Prawie wszyscy funkcyonaryusze parafialni są masonami. Co roku loża wydaje proszony obiad, na który licznie spieszy kler, oraz inteligencya miejscowa. Poblizki uniwersytet wysyła znaczną deputacyę profesorów, którzy jednocześnie są dostojnikami urzędowego Kościoła. Lud uważa to wszystko za rzecz zupełnie naturalną.

Przyczyny tak dziwnego stanu rzeczy są liczne i skomplikowane. Umysłowość protestancka i charakter Anglosaksonów niepoślednie wśród nich zajmują miejsce.

Masonerya angielska nie prowadzi wojny z tronem i ołtarzem; niepodobna jednak zaprzeczyć związku jej z masoneryą międzynarodową, której program, z gruntu wrogi ołtarzowi i tronowi, jest tajemnicą publiczną. Wniosek stąd prosty, że jeśli loże angielskie nie walczą z koroną i urzędowym kościołem Anglii, znaczy to, że sekta kosmopolityczna uważa, iż w danym razie warto chwilowo zrobić wyjątek. Przypomina się tu mimowoli stanowisko rewolucyonistów, anarchistów etc., którzy w Anglii nie uprawiają swej działalności wywrotowej, jedynie w tym celu, by stworzyć sobie centrum kosmopolityczne, gdzie swobodnie pracowaćby mogli nad zgubą innych krajów, aż do chwili, gdy potop rewolucyi, zalewając świat, z konieczności pochłonie i Anglię.

Społeczeństwo angielskie zaczyna powoli otwierać oczy na właściwy charakter masoneryi. Coraz częściej dają się słyszeć głosy, pytające z niepokojem: czy nie przyszedł już czas, by ruch rewolucyjny, który tajne sekty wznieciły na kontynencie, ogarnął i Anglię? Istotnie, blizką, być może, jest chwila, w której witraże, podarowane przez braci trójkątowych kościołom anglikańskim, potłucze wicher rewolucyi.. *N.*

Nieprawdopodobne ale prawdziwe.

Odpowiedź memu recenzentowi.

W 20 numerze „Welehradzkiego Wiestnika« z r. b. znajdujemy artykuł p. t. »Bonoje Miesto«, w którym czytamy, co następuje:

»Sprawa katolicka na tem nic nie zyska, że setki tysięcy Rosyan, przechodząc na katolicyzm, przyjmą go w obrządku łacińskim, owszem na tem straci (sic), bo te setki tysięcy nowonawróconych staną się murem nieprzebytym dla milionów prawosławnych, upatrujących w przejściu na obrządek łaciński[1]) nie tylko zmianę wiary, ale i zmianę narodowości, utratę rosyjskiego ducha i rosyjskiej kultury. Oczywiście dla polskiego duchowieństwa jest ciężko rozstać się z myślą latynizacyi rosyjskich katolików, tem bardziej, że za nią ukrywa się myśl ich polonizacyi (sic). W Rosyi prawie w każdem gubernialnem mieście jest polski kościół. Jakże tu wobec tego wyrzec się myśli zakładania »polskości«[2]) około twierdz Zachodu? To zbyt wielka pokusa odbiera rozum kapłanom w rodzaju ks. Borodzicza[3]) (str. 10).

»Zachodzi pytanie, dlaczego przechodzący na katolicyzm Chełmszczanie woleli przyjąć raczej łaciński, niż wschodni obrządek?[4]) Z ich strony był to jedynie środek

[1]) Czyżby tylko w samym obrządku łacińskim? Faktem jest, że w Bułgaryi i Rumunii takie same uprzedzenia mają i do wschodniego unickiego, miejscowego obrządku, czego dowodem, jak to w mojej broszurze podniosłem, są tameczni następcy tronu.

[2]) Cudzysłów dał sam recenzent i słowo przytoczył po polsku.

[3]) A więc pod adresem departamentu obcych wyznań oczywista denuncyacya, nie tylko bardzo złośliwa insynuacya.

[4]) Jakby oni mieli jakąkolwiek możność wyboru.

„wyrwania się z objęć prawosławia i usunięcia w przyszłości „nawet samej możności[1]) gwałtownego do niego przyłą-„czenia, jak to się stało w 1875. kiedy pod pretekstem przy-„wrócenia czystości wschodniego obrządku, powoli przecią-„gnięto ich na prawosławie. Bo czyż może uczynili to dla „tego, że ten obrządek ich pociągał? Nigdy w świecie (??). „Co więcej. ci nieszczęśliwcy (!!) uciekają się do innych „środków jeszcze bardziej radykalnych i aby między sobą „a prawosławiem wznieść mur nie do przebycia, dobrowolnie „się polonizują«.[2])

»Nie trzeba zapominać, że rosyjskie społeczeństwo, mie»szając dogmat z obrządkiem, niema żadnego pojęcia o Unii »a z drugiej strony polskie duchowieństwo dokłada wszel»kich starań, aby nawracających się przeciągnąć na obrzą »dek łaciński«.

Tem usiłuje recenzent wytłumaczyć podniesiony przezemnie w broszurze p. t *„Na Rusi galicyjskiej schyzma się gotuje"*[3]) fakt, że »akcya naukowego przygotowywania Unii« co do nawróconych na wschodni obrządek wydała poprostu śmieszne rezultaty, tak, że wobec niej chciałoby się mimowoli użyć znanego łacińskiego przysłowia »parturiunt montes, nascitur ridiculus mus« — gdyby nie groza sytuacyi, sprowadzonej przez nią na Kościół pod zaborem rosyjskim, — gdyby nie rewizye po konsystorzach, wznawianie drakońskich przepisów co do kapłanów katolickich, mieszanie się coraz bardziej drobiazgowe do rządów wewnętrznych kościelnych, języka w nabożeństwach i t. d.: do czego owa akcya dała rządowi pożądany pretekst.

Recenzent pociesza się tem, że po za chełmskimi unitami, »tylko« 40.000 prawosławnych zostało nawróconych na katolicyzm w łacińskim obrządku. I to nie byłaby znowu garstka tak godna pogardy. Tymczasem tak źle nie jest, bo sam apostata Storożew, na podstawie urzędowych danych naliczył ich na samej Litwie i Rusi 56.604 (Minskije Wiedomości N. 12.)

»Ale ks. Borodzicz na wszelki sposób chce nam wy»kazać nieodpowiedniość (dla propagandy w Rosyi) wschod»niego obrządku. Do tego używa następującego argumentu. »Na Białej i Małej Rusi część narodu zachowała wiarę ka»tolicką tylko dlatego, że miejscowa szlachta[4]) przeszła na »obrządek łaciński.. Dowód to przestarzały, tysiąc razy »zbity. (!) Bo w rzeczywistości właśnie dlatego (?) została »tylko garstka[5]) katolików, że biało- i małoruska szlachta »wszędzie przechodziła z prawosławia na łaciński »obrządek, wskutek czego straciła swój narodowy charakter »a biedny, prosty lud, pozbawiony swej inteligencyi i arysto»kracyi rzucony na pastwę losów (!), pod kierownictwem »swego nieokrzesanego duchowieństwa, bez wszelkiej kultury,[6]) »nie mógł wytrzymać parcia ze strony prawosławia rosyj»skiego. Otóż w tem to obrządek wschodni nie winien »nic[1]), ale winni ci podli[2]), którzy patrzeli na Unię, jako »na polityczną kombinacyę: mającą służyć do wyniesienia »Polski, co po części też i osiągnęli: całe zastępy arystokracyi »starorosyjskiej przyozdabiają dziś Panteon polski, ale za to »z Unii pozostały tylko wspomnienia. Bo czyż tylko żądza »korzyści materyalnych pchnęła takiego Siemaszkę i Popiela »do prawosławnej cerkwi (autentyczne!)? Nie! Tutaj daleko »silniej działał głęboko odczuwany żal do prześladowców, ła»miących, naruszających (i skażawszych) nagromadzone wie»kami skarby grecko-wschodniego obrządku (?) i bez mi»łosierdzia niszczących (?) kulturę i język narodowy.. My »nie chcemy bronić tych apostatów, ale chcemy oczy otwo»rzyć panom Borodziczom na rzeczywistą (?) przyczynę upadku »rosyjskiej Unii (sic)« (str. 12)...

»Dla tej ostatniej (Galicyi) żonate duchowień»stwo było, zdaje się, zrządzeniem Bożej Opatrz»ności (sic). Kiedy inteligencya i arystokracya zupełnie już »były spolonizowane, samo duchowieństwo wydawało ze »siebie kierowników i przedstawicieli narodowej kultury. Ono »na swych plecach przeniosło cały ciężar polonizatorskich »rządów szlachty i dopomogło biednemu narodowi wyrwać się »ze szponów szlachty, zachowując mu język jego i wschodni »obrządek« (str. 12).

Nakoniec stwierdza autor, że wywody ks. Borodzicza »co do smutnego stanu cerkwi unickiej w Galicyi, zdradza»ją zupełny chaos pojęć dogmatycznych, liturgicznych, histo»rycznych i dyscyplinarnych (str. 10) i są najbanalniejszem »łajaniem, które spotkać można na szpaltach pierwszej lep»szej galicyjskiej gazety« (str. 13).

Powyżej przytoczone cytaty wyjęte są z artykułu: „Drażliwe Miejsce", umieszczonego w ostatnim numerze pisemka, Cyrylo-metodyjskiego, wychodzącego nieregularnie w Pradze po rosyjsku, ale drukowanego alfabetem łacińskim. Sam przez się ten artykuł ze względu na małe znaczenie tego pisemka mógłby być śmiało pominięty milczeniem, gdyby nie to, że autor równocześnie umieszcza go z odmiennym oczywiście wstępem w „Nywie", organie lwowskiego ukraińskiego duchowieństwa i gdyby przedewszystkiem nie to, że służyć może szerszemu naszemu ogółowi za przedmiot do studyum o psychopatyi, do jakiej dojść może człowiek, myślący po rosyjsku, wymyślający po rosyjsku i odznaczający się brakiem logiki... europejskiej.

Oto kilka dowodów.

Powoławszy się na ostre prawdy, wypowiedziane przez Palmierego prawosławiu w »Chiesa Russa«, — gdzie Rzym, gdzie Krym? — kończy on tak: »Prawda, myśmy może przez to zawinili, »że nad prawosławnymi nie znęcamy się (nie głumimsia) i nie »łajamy ich (nie rugajemsia). Cóż robić, myśmy do katechetycznej szkoły czcigodnego autora nie uczęszczali i nie »wiemy, jak on sobie przykazanie miłości bliźniego tłu»maczy« (str. 7).

Pod tym względem my jesteśmy w lepszem położeniu od niego, bo z jego własnego artykułu dowiadujemy się, do jakiej on szkoły uczęszczał i jak tę miłość względem takich, jak ja, »braci« swoich rozumiał: »Horyzont polskiego duchowieństwa, takich Bo»rodziczów i jemu podobnych, jest zanadto ograniczony, aby »mogli zrozumieć, na czem polegają naukowe prace przygo»towawcze do Unii.. to do ich mózgów trafić nie może (nie »pronikajet w mozgi gospod Borodziczej). Nie mają sił po »temu (str. 6). Na sadzę czy patrzysz, czy jej dotykasz, »zawsze czarna-mówi przysłowie rosyjskie. Jak sadza koloru »swego nigdy stracić nie może, tak i mózgi panów Borodzi-

---

[1]) Podkreśla i bierze w cudzysłów recenzent, przez co sam z naciskiem stwierdza, że obrządek łaciński daje większą rękojmię bezpieczeństwa dla swych wyznawców w Rossyi, niż obrządek russko-katolicki.

[2]) Znowu »mur nie do przebycia«, tym razem z przeciwnej strony i to daleko bardziej radykalny, niż ten, jaki obrządek łaciński wznosi w obronie przed prawosławiem. Zwracamy uwagę, że to sam recenzent stwierdza. Ciekawy przyczynek do jego logiki.

[3]) West — Brody; 1·50 kor. Por. naszą ocenę w Nrze 35. Gaz. Kość. z r. b. Dop. redakcyi.

[4]) Jakby szlachta tylko, a lud nań nie przechodził wcale.

[5]) Piękna garstka! W trzech tylko guberniach litewskich: wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, w ministeralnym projekcie, tyczącym się ziemstw Stołypinowskich, znajdujemy podanych Rosyan katolików (czytaj ludu białoruskiego) 1,029.390 a katolików Polaków 412,243, czyli razem okrągło pół miliona, co w rzeczywistości daleko więcej wyniesie. Można tedy spokojnie powiedzieć, że w 9 guberniach zachodnich t. j. na Białej i Małej Rusi dzięki obrządkowi łacińskiemu jest dziś do czterech milionów katolików, którychby bez niego nie było, bo jak wiadomo, w razie takich prześladowań, jak Mikołajowskie wobec Unii, arystokracya nie wieleby się ludowi przydała do zachowania jego wiary.

[6]) No! kulturę on wtedy miał, ale wziętą od Polaków, zachodnio łacińską i dlatego o 100% mniej było wśród niego złodziei, morderców, podpalaczy, pijaków, obyczaje 100 razy były lepsze, niż dziś, gdy rozpanoszyła się tam kultura wschodnia.

[1]) O gwałtach, wołających o pomstę do nieba, ani słówka, tak, jakgdyby prawosławie zwycięstwo swe wewnętrznej swej zawdzięczać mogło sile. Oto przykład, jak panowie welehradzcy rozumieją »mówić o prawosławiu z miłością i bez łajania« (str. 7.).

[2]) Więc Zygmunt III. a może i Skarga to ludzie podli?!

»czów nie mogą się nigdy zdobyć na tyle elastyczności, aby »zrozumieć najoczywistsze prawdy... Do zjazdów welehradz»kich panowie Borodziczе jeszcze nie dorośli, to też, chcąc »nie chcąc, trzeba przyznać słuszność analizie Palmierego[1]), »ale mimo to mógłby ks. Borodzicz obejść się bez potwa»rzania, co władz umysłowych bardzo rozwiniętych nie wy»maga« (str. 8).

Miłość bliźniego i łagodność szczególniejsza, choć przyznać musimy, że dla ocukrzenia pigułki, czy też dla okazania braku logiki pisze o mnie tak: »Pod wozem i na wozie. Pamięt»niki ks. Borodzicza«[2]) napisane są po prostu, z ta»lentem tak, że mimowoli wzbudzają w czytelniku sympa»tyę do swego autora, każąc mu śledzić tak myśli jego, dzie»lić z nim jego cierpienia i rzadkie chwile wesela. Tych lat »13, w których autor zwiedził szerokie przestrzenie wielkiego »północnego państwa, dają nam żywy obraz współczesnego »stanu Kościoła katolickiego w Rosyi, który prawie że się nie zmienił po ogłoszeniu osławionych swobód z 1905 »r. (str. 5). „W osobie ks. Borodzicza widzimy ka»płana miary nie zwykłej, apostoła, oddanego Kościołowi (str. 13).

Co znowu nie przeszkodziło recenzentowi o pracy mej duszpasterskiej wyrazić się z dziwnem lekceważeniem: „Misya w Rosyi, pisze on na str. 6. — nie przedstawia się tak, jak misya w Nowej Gwinei: Bierz krzyż i opowiadaj Ewangelię (Beri krest i propowiedywaj), tego mózgi panów Bogorodziczów zrozumieć nie chcą..."

No, bo i nie mogą. Nasze mózgi rozumieją, że Kościół katolicki od XX wieków właśnie tak pojmował pracę apostolską: „Bierz krzyż i opowiadaj Ewangelię". Bo gdzie, kiedy i jak np. św. Paweł zajmował się „naukową pracą przygotowawczą", do nawracania bardzo kulturalnych i uczonych Ateńczyków, albo św. Piotr do nawracania cywilizowanych Rzymian, albo choćby św. Franciszek Ksawery wśród bardzo już wtedy w swoim rodzaju wykształconych i myślących Japończyków i Indyan? Oni opowiadali Ewangelię Krzyża i to przedewszystkiem ubogim i wzgardzonym prostaczkom, a przez ich nawrócenie przygotowali przyszłe nawrócenie uczonego świata. To też mój mózg sądzi, że świat pod tym względem się nie zmienił. Tak sądzi zresztą ogromna większość polskiego duchowieństwa, która bezpośrednio pracując nad powierzoną sobie owczarnią katolicką, pośrednio przykłada rękę do nawracania Rosyan, których łaska Boska do nich sama przyprowadzi, i to, aby z nich robić katolików, bez najmniejszej myśli ukrytej, jak to im — rzeczywiście podle — podsunąć stara się mój recenzent, dla zrobienia z nich Polaków. Myśmy „twierdz polonizmu" w Myszkinie, Luminiu i Rybińsku budować nigdy nie myśleli, my też pomiędzy prostym ludem na niechęć w głębi Rosyi nie natrafialiśmy nigdy, bośmy brali krzyż i opowiadali Słowo Boże, a o sporach teologicznych nic nie wspominali. Popsułoby to tylko sprawę.

Wiem jeszcze jedno:

Recenzent mój troje dziwów opowiada o zjazdach welehradzkich, podrwiwając sobie ze mnie, „że zachęcam do walki z ruchem welehradzkim" i że „przytem używam podziemnych machinacyi" (str. 8).

„Podziemne machinacye"! Doskonale! Ciekawa rzecz, kto ich się chwyta? Ja, co książki swe podpisuję pełnem nazwiskiem, czy mój recenzent, który pod swą zjadliwą krytyką podpisu umieścić się obawia, zapewne, aby módz dalej bezkarnie ryby łowić w mętnej wodzie, uchodząc za Polaka, a wysługując się „wielkiemu północnemu państwu". — Ja, co broszurę swoją, dedykowaną „wszystkim przewielebnym i wielebnym Ojcom trzeciego welehradzkiego zjazdu, katolickim i prawosławnym", każdemu z nich posłałem ją jak najsumienniej, — czy on, który mi odpowiada w dwóch pismach dla polskiego społeczeństwa nie przystępnych, a przystępnych bezpośrednio dla panów z departamentu obcych wyznań w Petersburgu?

[1]) Mowa tu o potwarzy rzuconej przez tego pisarza na polskie duchowieństwo. Patrz „Polacy — przeszkodą do Unii zachodu z wschodem!?" (Kraków 1907). — Księgar. Westa, Brody, 1 kor.

[2]) We wszystkich księgarniach do nabycia; stron 246, 40 ilustracyi (brosz. 2 95 K.).

Wracając do rzeczy, najuroczyściej zapewnić mogę mego recenzenta, że po trzecim zjeździe welehradzkim najmniejszej nie czuję ochoty przeciwko ruchowi welehradzkiemu walczyć, ani otwarcie ani skrycie, bo on zwalcza sam siebie, ginąc na suchoty swej praktycznej bezcelowości. Ten trzeci zjazd w Welehradzie (lipiec 1911) był wprawdzie technicznie, jak zwykle, bardzo zręcznie inscenizowaną przez Dr. Stojana manifestacyą czeskiego patryotyzmu, dla odmiany pod flagą Unii Kościołów, jak tuż przedtem urządził inną, pod flagą pracy społecznej młodzieży seminaryjnej — ale pod względem pracy, przygotowującej Unię, zjazd ten zrobił fiasco zupełne. Choć jeszcze niektóre organa duchowieństwa stwierdziły fakt odbycia się tego „sympatycznego" (a jakże?) zjazdu, ale w szczegóły się nie wdawały. Wyjątek stanowi „Wileński Miesięcznik Kościelny", w którym młodzieniec pewien dla ćwiczenia stylistycznego nad nim, jako nad zdarzeniem pierwszorzędnej doniosłości się rozwodził.

Prawdę zaś z całą otwartością podał nam ks. Krypiakiewicz (obrz. gr.). w podwójnym numerze 16-tym i 17-tym »Nywy« z 1911 r.

Punktem kulminacyjnym zjazdu było, zdaniem jego, wystąpienie ks. Franciszka Szolca, profesora seminaryum królowohradzkiego: »Piękna postać — pisze on — tego blizko 60-letniego męża, porwała obecnych, kiedy z energią i wymową przemówił, uderzając w struny patryotyczne. Między innemi rzucał on nam zdania takie, jak np. że »Morawia i Czechy, będąc w środku Europy, są temsamem niejako sercem świata, wskutek czego i język czeski powinien stać się kiedyś językiem światowym!« Entuzyazm zrozumiały!

Za to z referatami pierwszego dnia jakoś nie szło: Pierwszy, popa Hekkena, odczytany przez kogo innego, »nic osobliwego nie zawierał«; — drugi, »jakiegoś Flamandczyka«, przeczytany znowu przez kogo innego, został skrócony; trzeci, »O. Urbana z Krakowa, z przyczyny ks. Krypiakiewiczowi nie znanej, odpadł zupełnie«.

Nie lepiej poszło z referatami dnia drugiego. Po wspomnianem wystąpieniu ks. Szolca, miał referat nadprogramowy O. Maliczyn, ale go poproszono o skrócenie wykładu. Po nim zapowiedziany referat O. Palmierego wcale nie był czytany, bo zauważono, że temat jego do publicznego czytania się nie nadaje, jako »zanadto szczegółowy« (biedny Plamieri! doczekał się takiej niewdzięczności). Po O. Palmierim odczytał »wreszcie O. Jugie zapowiedziany swój referat«, w którym zaleca modlić się o przyspieszenie Unii. Po nim mówił Dr. Simrak, ale i ten »nic szczególnie interesującego nie powiedział«.

Dzień, takich trudów pełny, zakończono zdjęciem wspólnej fotografii i debatami praktycznemi (?!), w których powzięto postanowienie, żeby te wszystkie (nic osobliwego nie zawierające i nudne) referaty, przetłumaczono na rosyjskie i pomiędzy lud w Rosyi rozrzucano.

Trzeci dzień zaczęto od relacyi o Akademii welehradzkiej, poczem nastąpiła »długa i nudna dyskusya«, co spowodowało widocznie prędszy wyjazd ks. Kr.

Kończy on swój referat uwagą: »Tegoroczny zjazd daleko mniej się udał, niż dwa poprzednie, jak wszyscy mówią, a to 1. dlatego, że na nim nie był obecnym ks metropolita Szeptycki, a 2. że brak na nim było prawosławnych, którym agitacya »Nowego Wremeni«, zagrodziła drogę do Welehradu«.

No! Zwalczać tedy, szanowny mój recenzencie, nie ma czego, szczególnie, że ten trzeci zjazd w istocie nie ma najmniejszej domieszki neoslawizmu, jak dwaj jego starsi bracia, którzy mimo najlepszej woli i oświadczeń oficyalnych, dosyć silnie nim trąciły. — Oświadczenia oficyalne w takich razach znaczą tyle, coby np. znaczyły zaręczenia mego recenzenta, że jest Polakiem...,

— — — — — — — — — — — — — — —

Łajanie, wyśmiewanie i pogarda, przekręcanie myśli i wyrażeń przeciwnika — oto cecha broni mego recenzenta. — To też w ważniejszych punktach muszę stanowczo przeciw temu zaprotestować:

1. Wnioski me, tak niemiłe dla recenzenta, o niższości wschodnich obrządków, ich »skrofuliczności, suchotniczości«, — większem bezpieczeństwie obrządku łacińskiego i t. d., opierałem na mej głównej tezie, którą w mej broszurze od początku do końca starałem się przeprowadzić, mianowicie: że tego wszystkiego główną

przyczyną jest tolerowane w duchowieństwie wschodniem małżeństwo. Doniosłość tej tezy rozumie mój recenzent doskonale i dlatego wykręca się odpowiedzią, że małżeństwo nie jest nakazane kapłanom obrz. gr. i że do obrządku nie należy, że to tylko sprawa dyscypliny kościelnej. — Wiem o tem i ja, tylko utrzymuję, że dla odrodzenia, odświeżenia, postawienia na nogi Unii galicyjskiej, trzeba koniecznie w młodej generacyi kapłanów przestać to małżeństwo tolerować, czyli że trzeba zaprowadzić celibat. Konieczność tę uznaje zresztą także taki mąż Boży, jak ks. Biskup stanisławowski, ku strasznemu oburzeniu zagrożonej w swych podstawach kasty kapłańskiej i całej niemal skoligaconej z nią inteligencyi ruskiej, dążą do tego podobno i popadjanki, bo między niemi jest coraz więcej takich (jeśli wierzyć można utyskiwaniom ks. C-skiego w „Nywie“), które za kleryków nie chcą wychodzić.

»Czyż nie jest to wiele mówiąca i wyrazista liczba« — pisze ks. C-ski — »że we lwowskiej eparchi w 1910. roku »na 36 do święceń kapłańskich przystępujących kleryków, »tylko 19 było żonatych z popadjankami?... Jażeli wobec ta»kiego lekceważenia duchownego stanu, one (popadje i popa»djanki) dalej milczeć będą, to okażą się słusznemi żądania »niektórych jednostek z pośród naszego duchowieństwa, aby »zaprowadzić celibat«. (»Nywa«. Rok VIII. str. 489).

2. Powiedziałam w mej broszurze, że obrządek łaciński jest bezpieczniejszy, bo »na jego czele stoi Papież«. Dało to recenzentowi powód do »śmiechu«. Nie wiem czemu, bo rezonowałem tak:

Według poglądu, przyjętego na wschodzie, mamy pięć Kościołów, na których czele stoi pięciu patryarchów: czterech na wschodzie i jeden na zachodzie. Każdy z nich jest głową swego obrządku i naczelnikiem swej hierarchii: wszystkim przewodzi Papież. Otóż przypuśćmy, że który z patryarchów wschodnich zrywa stosunki z Papieżem, czyż żyjący we wschodnim Kościele wierny przez to w wysokim stopniu nie jest także narażony na zerwanie z Kościołem, przez sam fakt, że jego patryarcha to uczynił? Zależność hierarchiczna i obrządkowa zerwanie to z natury rzeczy musi ułatwić. Takiem zerwaniem Cerularyusza rozpoczęła się dotychczas trwająca na wschodzie schyzma. Otóż pytam, czy niebezpieczeństwo utraty wiary z tej strony także łacinnikowi zagrażać może? Oczywiście że nie, bo jego Patryarcha z Papieżem jedną stanowi osobę. Wskutek tego przodkowie nasi mawiali słusznie, że *»ritus latinus est ritus securior«*.

3. Przyjmujemy do wiadomości fakt ciekawy, za którego autentyczność recenzent sam ręczyć musi, że ks. Maksymilian Saski już w 1906 r. ze swej katedry profesorskiej w Fryburgu głosił swe przez Ojca świętego w 1910 roku potępione teorye (str. 9)[1]. Więc recenzent, a zapewne i inni przyjaciele księcia wiedzieli o tem i.. milczeli.

Dziwne to, tem dziwniejsze, że on sam, według »Corriere d'Italia« oświadczył, że w owym artykule zamierzał tylko przedstawić, w jaki sposób sami schyzmatycy wyobrażają sobie ewentualną Unię, że chciał tylko różne od katolickiej nauki ich zdania objektywnie przytoczyć.

4. W ustępach, tyczących się księcia Maksymiliana, poszliśmy, przyznajemy to chętnie, za artykułem »Rzeczpospolitej«, nie poczuwamy się jednak w tem do winy, bo jest on najpierw napisany poważnie, a potem i ze strony powołanej do tego katolickiej prasy nie został co do swego założenia fałszywego — jak utrzymuje mój recenzent — należycie wyświecony.

Qui tacet, consentire videtur.

5. Niechby też recenzent był łaskaw zacytować miejsce, lub przynajmniej wskazać stronicę, gdzie powiadam, że w grecko-unickim obrządku zbawić się nie można, albo że nim gardzę wbrew tylu »Papieżom, którzy go wynoszą, cenią i t. d.«, bo inaczej byłbym zmuszony stwierdzić potwarz i podstępną ze strony jego insynuacyę.

[1]) Że dogmat o Pochodzeniu Ducha Św. nie da się udowodnić z Ewangelii i nauki Ojców, że jest wątpliwą rzeczą, czy dogmaty o Niepokalanem Poczęciu i o czyścu przez Ojców uznawane były, — że św. Paweł ma równe prawa z św. Piotrem, — że Kościół katolicki w pierwszych wiekach nie miał formy monarchicznej i t. d.

Czyż on nie rozumie, że co innego są obrządki w teoryi, in abstracto, a co innego in concreto, w praktyce? Któż z nas Polaków i w jednym i w drugim względzie z największą sympatyą i szacunkiem nie odnosi się n. p. do ormiańskiego obrządku wschodniego, takiego, jakim on się stał u nas w Galicyi? I my też w teoryi cenimy obrządek unicki rusko grecki, ale ponieważ dotychczas i pomyślećby się w praktyce nie dał bez żonatego kleru, więc czyż recenzent i to wmówić w nas zechce, że Papieże, wspomniani przez niego, przypisywali z nim razem Opatrzności Bożej, że raczyła kapłanów swoich użyć nie tylko dla zapewniania wybranym nieba, ale i dla dostarczania kierowników narodowi ruskiemu, broniących go przed kulturą zachodnią, w jakiej ci Papieże żyli — i przed polskością, którą ci sami Papieże, za przywiązanie do siebie jeszcze częściej wynosili, cenili i chwalili?

— — — — — — — — — — — —

Na zakończenie jeszcze słówko o wstępie do całej recenzyi. Na dwóch bitych stronicach, z widocznem zamiłowaniem rozwija w nim recenzent czytelnikowi swemu znaną potwarz, jaką w dziele »Chiesa Russa« na duchowieństwo polskie pod zaborem rosyjskim rzucił O. Palmieri. Jeden za drugim przytacza on wszystkie historyczne(!) argumenty, którymi ten wróg polskiego narodu tezę swą udowodnić usiłował. — Oczywiście, nie przytacza recenzent żadnego argumentu strony przeciwnej, nawet nie poczuwa się do obowiązku wskazać na publikacye, mogące bezstronnemu czytelnikowi służyć do oryentacyi[1]), tylko z tryumfem konstatuje, że Palmieri głównych swych przeciwników O. Mohla i ks. de Töth'a (Włocha) »na łeb na szyję pobił w broszurze p. t. „Mohlianismus eiusque methodus et consectaria“ (ub. źle przytoczonej, bo brakuje po pierwszem słowie „seu panpolonismus“) i przed całym(?) uczonym światem raz na zawsze przypieczętował ich »sposób polemizowania«.

Tymczasem tyle w tem prawdy, że ta broszura Palmierego była pamfletem najniższego gatunku, co spowodowało ostatnie słowo kontrowersyi i gdyby autor pamfletu nie był kapłanem, za obelgi byłby trafił przed kratki sądowe.

Gdyby mój recenzent nie grzeszył zasadniczym brakiem logiki, byłby spostrzegł, że pochwalone przezeń moje pamiętniki są, jak wielu mi mówiło, najlepszem zbiciem palmierowskiej tezy, bo stwierdzają, co kapłan »miejscowy« polski, przy danej sposobności dla nawracania braci Rosyan zrobić może i robi. Naturalnie, recenzent mój utrzymuje przeciwnie z całą naiwnością, że one są wspaniałem (blestiaszczem) potwierdzeniem palmierowskiej tezy.

Na upór nie ma ratunku.

Tego rodzaju artykuły, jak »Bolnoje Miesto«, sieją bałamuctwa i szkodzą nietylko ukrytemu ich autorowi, lecz niedźwiedzią usługę oddają sprawie Kościoła.

Szan. recenzencie! Trzeba ci o wiele więcej logiki, argumentów i znajomości historyi, a mniej »rugotni, głumienia«, wtedy byśmy jeszcze mogli rozprawiać o tak wielkiej i świętej sprawie, jaką jest nawrócenie ze schyzmy naszych słowiańskich braci Rosyan i t. p.

Maledictus, qui facit opus Domini fraudulenter!...
(Jer. 48., 10.) *Ks. Józef Borodzicz.*

---

[1]) Ktoby z tą polemiką chciał się bliżej zapoznać, tego odsyłamy do:

1. »Polacy przeszkodą do Unii wschodu z zachodem?!« ks. Aleksandra Mohla (Kraków. 1908. Księgarnia Westa. Brody — 1 kor.).

2. »Potwarz — czy nieporozumienie?« przez ks. Aleks. Mohla. (Warszawa 1908. Gebetner i Wolff w Krakowie. 1 50 kor.)

3. »Est-cevrai?« par Marcel Bolesta. (Paris 1910. Gebetner 1 kor.).

4. »Świat Słowiański« (1910. Str. 135, artykuł ks. Szydelskiego: „My a świat słowiański«.

5. »Ateneum Kapłańskie«. (Rok II. Listopad 1910.).

6. »Odpowiedź historykowi Cerkwi rosyjskiej«. (Gaz. Kośc. 1910. Str. 587. i 600.).

Bibliografia.

X. Stanisław Wysocki. Dekret »Maxima cura« o usuwaniu pzoboszczów w drodze administracyjnej. Lwów 1911. Gubrynowicz 8-o str. 59.

W znacznej części posługujemy się dziełami niemieckiemi i francuskiemi i to nie tyle w dziedzinie nauk świeckich, ile w dziedzinie teologii, z góry może odmawiając wartości naukowej książkom w języku polskim pisanym. A jednak w ostatnim czasie ukazała się dość spora liczba dzieł teologicznych polskich, które nie ustępują bynajmniej dziełom obcojęzykowym; a liczba ich z pewnością szybciej by wzrastała, gdyby znajdowały większe uznanie i większy popyt.

Do tej kategoryi pism, godnych polecenia, zaliczyć można śmiało najnowszą pracę X. Dra Wysockiego, której, naszem zdaniem, pomiędzy rozprawami o dekrecie Maxima cura, jedno z pierwszych należy się miejsce. Autor nie zbywa czytelnika czysto egzegetycznym komentarzem, jak to n. p. czyni Capello w swej książce De administrativa amotione parochorum, lecz ująwszy przedmiot w systematyczną całość, kreśli zarazem przewodnią myśl i istotne motywy nowej ustawy, oraz wybitną jej racyonalność i użyteczność. Sama dogmatyczna strona rozprawy przedstawia się nadzwyczaj dodatnio. Interpretacya poszczególnych postanowień dekretu, oddaje w zupełności myśl ustawodawcy i przy całej swej zwięzłości, odznacza się wielką jasnością i przystępnością.

Nie może być naszem zadaniem, rozbierać tu całą treść cennej rozprawy X. Wysockiego, podniesiemy tylko jeden, drugi szczegół, zasługujący na szczególniejszą uwagę.

Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, iż autor na str. 20. słusznie występuje przeciw O. Prümmerowi, któryby rad podciągnąć pod rubrykę »szaleństwo« wszelkie przejawy zbytniej, chorobliwej skrupulatności i wogóle jakiekolwiekbądź oznaki jakiegoś przeczulenia lub nierównowagi umysłowej. Również uważamy za uzasadnione żądanie autora na stronie 8., aby upoważnienie, dane wikaryuszowi generalnemu do przeprowadzenia sprawy, było wyraźnie zaznaczone w aktach procesowych; w praktyce, naszem zdaniem, wypadałoby udzielić takiego upoważnienia osobnem pismem i to wciągnąć do aktów. Szczególnie zaś cenne i trafne są uwagi i wywody autora o dopuszczalności rekursu od wyroku komisyi rewizyjnej, zatwierdzającego poprzedni wyrok usunięcia proboszcza. Możliwość takiego rekursu odpowiada w zupełności duchowi całego ustawodawstwa kościelnego; mogłaby ona być — i była zaprzeczoną tylko przez ludzi, nie znających wcale kardynalnych zasad ustroju Kościoła katolickiego. *Roth.*

X. Adolf Albin: „Niech będzie uwielbione Najświętsze Serce Jezusa". Czytanki na pierwsze piątki miesiąca. Serya I. Tarnów 1910. Stron 57. Serya II. Tamże 1911. Stron 55.

Chcąc przyczynić się do rozbudzenia i ożywienia nabożeństwa do Najśw. Serca Jezusowego wśród naszego ludu, ułożył czcigodny Autor, zasłużony i pracowity proboszcz w Chełmie (dyecezya tarnowska), którego kilka już pism („O bractwach". Tarnów" 1907., „Katechizm dla nowożeńców i małżonków". Tamże 1910 i t. d.) poleciliśmy w Gazecie Kościelnej, szereg czytanek o Najśw. Sercu.

Odznaczają się one prostotą, namaszczeniem i stylem poprawnym a dla prostaczków przystępnym. Czemu jednak każdą czytankę (z wyjątkiem 2 ostatnich seryi II), kończy tą samą modlitewką? — Wszakże „varietas delectat" — większa rozmaitość treści i formy mogłaby tylko podnieść wartość książeczki. W seryi I. czytamy o obrazie Serca Jezus., o Jego miłości i dobroci, o częstej Komunii i t. d., w seryi II. o historyi naboż. do Najśw. Serca, o apostolstwie modlitwy, o lidze miłości i t. d.

Czytanki te mogą dostarczyć także dobrej osnowy do krótkich przemówień, zasługują więc na polecenie. *X. P.*

Kazimierz Chłędowski. *Rzym. — Ludzie baroku.* Lwów 1912. Stron 640, w dużej 8-ce. Cena 20 kor., w ozdobnej oprawie 25 kor.

Nowe to dzieło p. Chłędowskiego nie różni się w charakterze swoim od książek jego dawniejszych, ocenionych także przez nas w „Gaz. Kościelnej". Kreśli on nam barwne obrazy z dziejów sztuki i kultury włoskiej, ale najwięcej zajmują go drobne wiadomości, które rzucają światło niekorzystne na Papieży, kardynałów i innych dygnitarzy kościelnych.

Zarzucają mu całkiem słusznie rozpisywanie się con amore o rozwiązłości obyczajów w czasach, o których pisze, o kurtyzanach i t. p. (Por. X. Dra Baby broszurę p. n. „Kazim. Chłędowskiego Rzym, Ludzie Odrodzenia wobec najnowszych badań historycznych". Kraków 1910 i naszą ocenę tej książki na stronie 511 „Gaz. Kościelnej" z r. 1909). Lubi on czerpać ze źródeł mętnych (jak np. z paszkwilów Aretina), nigdzie zaś nie przytacza dowodów na to, że opowiadania jego zgadzają się z prawdą.

Tak też w ostatniej swej książce poświęca on dużo miejsca rzeczom, które mogą podobać się miłośnikom lektury „pikantnej", które jednak niczego nie uczą i dla historyi nie mają znaczenia; są to może po największej części tylko złośliwe plotki, uwłaczające czci Papieży i innych dostojników duchownych. Oto jeden kardynał miał romansować ze śpiewaczką Adryaną, drugi z królową Krystyną itd.

Charakrerystyka Papieży wypada u p. Chłędowskiego zawsze mniej lub więcej niekorzystnie, chociaż niektórym przyznaje wielkie zasługi. Bardzo też nie lubi Jezuitów, przeciwko którym powtarza znane oskarżenia ich nieprzyjaciół: według niego pragnęli oni „opanować wszelką władzę świecką" (str. 115 i 173). „Jezuici pracowali wyłącznie w jednym kierunku, w kierunku wzmocnienia potęgi Kościoła, a tem samem i rozszerzenia własnego wpływu. Temu celowi poświęcili wszystkie inne względy, względy na dobro narodów i państw, które zdołali opanować" i t. d. (str. 591.) Dowodów na te twierdzenia nie przytacza autor żadnych, nie uwzględnia też wcale licznych dzieł, napisanych w obronie zakonu.

Język książki jest wogóle poprawny, styl potoczysty, ale są tu i ówdzie błędy, jak np. na str. 69: „które nie wypłacała" etc., „pisał z Munster" (str. 296) i t. d. *X. P.*

Mariavitensekte. Einige Blätter aus der neuesten Kirchengeschichte Russisch Polens — von Kasimir Gajkowski. Kraków 1911. Stron 99.

Na wstępie zapoznaje Autor czytelnika z położeniem Kościoła w Królestwie Polskiem przed wydaniem edyktu tolerancyjnego, poczem opowiada o powstaniu sekty mankietników, o jej rozwoju i zupełnem zerwaniu z Kościołem, wreszcie mówi o nauce i kłamstwach historycznych przewódców maryawickich. Nam Polakom, którzy znamy historyę tej sekty, nie mówi broszura nic nowego, ale Niemcy i wogóle zagranica dowie się z niej dużo i nabierze wyobrażenia o ciężkich warunkach, w których duchowieństwo nasze pracuje w Rosyi, a które sprzyjały rozwojowi kozłowityzmu.

Praca więc Autora zasługuje na uznanie. Szkoda tylko, że niemczyzna jego nie jest wolna od licznych błędów. *X. P.*

Synopsis rerum moralium et iuris pontificii, alphabetico ordine digesta et novissimis SS. RR. Congregationum decretis aucta, in subsidium praesertim sacerdotum. Auctore Benedicto Ojetti S. J. vol. II. D-O ed, 3, Romae 1911, lex. 8° col. 1457-2857.

Pierwsze dwa wydania wspomnianej w nagłówku Synopsis, o rozmiarach jeszcze dość skromnych, w krótkim stosunkowo czasie zostały zupełnie wyczerpane. Obecnie wychodzące wydanie trzecie, obliczone na trzy potężne tomy (cena wraz z przesyłką 35 lir), przedstawia się jako zupełna przeróbka poprzednich. Wiele pracy włożył w nie autor, bo nie tylko, że uwzględnił wszystkie zmiany, jakie za pontyfikatu Piusa X. zaszły w dziedzinie prawa kościelnego, lecz także sumiennie zużytkował nowszą, nader bogatą literarę prawno-kościelną, jak o tem świadczy pobieżny rzut oka na pojedyncze artykuły i spis źródeł i autorów, podany na końcu odnośnych materyi.

Ramy skromnej notatki bibliograficznej nie pozwalają nam rozbierać szczegółowo całej bogatej treści leżącego przed nami drugiego tomu encyklopedyi Ojettiego. Stwierdzamy tylko, że co do wszechstronnego opracowania poszczególnych przedmiotów i co do gruntowności, przejrzystości i jasności pierwszemu tomowi niczem nie ustępuje.

Co do swych rozmiarów pojedyncze artykuły naturalnie różnią się wielce pomiędzy sobą, w miarę większej lub mniejszej wagi przedmiotu. Obok krótkich i jędrnych określeń spotykamy dłuższe artykuły, jak np. o ekskomunice, dymisyi z zakonu (por. teraz dekret św. Kongr. dla spraw zakon. z 16. maja 1911), o egzemcyi, o mszach gregoryańskich, postach, odpustach, oratoryach i t. d. Z szczególniejszą starannością opracowane są kwestye o większej doniosłości praktycznej, jak eucharystya, prawo pogrzebowe, przeszkody małżeńskie, przepisy, dotyczące spowiedników zakonnic i inne. Przy omawianiu poszczególnych przedmiotów nie pominął prof. Ojetti nawet najdrobniejszych szczegółów. Tak np. w art. o dyspenzach (col. 1603) oświadcza się — idąc za opinią Salmanticensów i D'Annibalego, za władzą biskupów dyspenzowania od ustaw Stolicy św., dla ich dyecezyi wydanych. Na col. 2040 zaznacza, iż w myśl Ceremoniału biskupów i orzeczenia Kongregacyi Obrz. nie należy używać przy wygłaszaniu kazań pogrzebowych komży ani stuły, lecz jedynie biretu.

Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje art. o niemocy płciowej (col. 2219—2276), który zaszczytnie świadczy o głębokiej nauce autora i który zawiera najlepszą może, jaką dotychczas posiadamy, rozprawę o kwestyi, czy kobieta, pozbawiona macicy i jajników, zdolną jest do zawarcia ważnego małżeństwa. Autor zadał sobie ten trud, że zebrał i ujął w całość wszystko, co dotychczas w tej kwestyi pisano; roztrząsa wszystkie dowody, jakimi autorowie zwykli zwalczać ważność takiego związku i wykazuje ich niedostateczność; w końcu zaś przytacza dowody pozytywne, przemawiające za ważnością, kładąc szczególniejszy nacisk na ostatnią w tym przedmiocie odpowiedź Kongregacyi Sakramentów z 2 kwietnia 1909. I naszem zdaniem ostatnia ta decyzya Kongregacyi zażegnała już na zawsze zacięty w tej kwestyi spór pomiędzy autorami, tak iż odtąd bezwarunkowo za ważne należy uważać małżeństwo takich kobiet, które już przed zamążpójściem niezdolne były do płodzenia z powodu całkowitego braku macicy i jajników.

Roth.

Gelegenheitsreden. Herausgegeben von Franz Xaver Aich. 5. Bd. Regensburg 1911, Manz 8-o VIII, 429. Mk. 4.

Zbiór tych kazań — na kształt „kazań i szkiców kapłanów Tow. Jez." — zaczął przed kilku laty wychodzić z inicyatywy chlubnie znanego X. Zollnera i dziekana X. Zieglera. Wyżej przytoczony tom zawiera obok kazań słabszych sporą liczbę utworów wcale dobrych, które dostarczą duszpasterzowi dużo materyału do kazań i przemówień przy rozmaitych okolicznościach. Do najlepszych kazań tego tomu zaliczyćby można kazanie X. Hafnera na temat: Najśw. Sakrament największem bogactwem katolika (str. 282), kazanie prymicyjne X. Wagnera na temat: Das Hosanna und Crucifige des kath. Priestertums (str. 338) i szkice X. Meuniera o celu sodalicyi młodzieńców i o socyalnej działalności sodalicyi panien (str. 64). Kazanie O. Bauera O. Cist. o celu pielgrzymek mężczyzn na tekst św. Pawła 1 Kor. 16, 13 odznacza się wielką siłą, zdolną porywać słuchaczów, ale jest stanowczo za długie.

Zbiór ten naszem zdaniem zyskałby wiele na wartości, gdyby kazania były ugrupowane według pewnego systemu. *Ro.*

Głos ze wsi.

Filarecya, akademickie stowarzyszenie polskiej młodzieży niepodległościowo-postępowej w Wiedniu, rozesłało kwestyonaryusz do wzzystkich Kół T. S. L. chcąc zebrać materyały do dzieła, traktującego o wsi polskiej i o jej mieszkańcach. W punkcie V. „Stosunki religijne" ad e) wpisano zapytanie następujące: „nadużywanie religii przez księdza do przemycania polityki klerykalnej", ad d) „budzenie się krytycyzmu co do odłączenia religii od polityki, lub wogóle w zakresie religii?"

Otóż do tylu opiekunów ludu naszego dołącza się obecnie nowy, Filarecya, który chce szerzyć wśród niego jad niewiary. Zacytowane wyżej zapytania nie potrzebują chyba komentarzy. Cóż rozumie Filarecya przez „przemycanie polityki klerykalnej?" Pragnie ona oczywiście zabronić kapłanom, żeby nie oświetlali spraw politycznych ze stanowiska katolickiego i nie wzywali do wybierania posłów Kościołowi życzliwych.

Ale to nie odstraszy nas od dalszej pracy dla kraju i od pouczania ludu także o zasadach zdrowej polityki. Trzeba nam się tylko organizować i naradzać o najbliższych naszych zadaniach, do czego nam będzie niewątpliwie bardzo pomocnym tworzący się sekretaryat katolicki. Pracują kapłani z nadludzkim prawie wysiłkiem, a praca ich zdaje się ginąć lub kto inny wyniki jej sobie przywłaszcza, właśnie dlatego, że nie mamy organizacyi.

Zjeżdżają się księża ruscy, zamyślając Ukrainy oblicze odnowić. Podobny zjazd mogłoby zwołać nasze Towarzystwo wzaj. pomocy kapłanów, zwołując członków swoich na walne zgromadzenie, — a jest nad czem radzić, choćby i nad pytaniami kwestyonaryusza w sprawie wsi polskiej, a jest ich do 50.

Nie dajmy się innym wyprzedzać w pracy!

Wasylkowce, dnia 15. grudnia 1911.

X. Karol Bialikiewicz.

Nowe czasopismo.

Ruch chrześcijańsko-społeczny. Miesięcznik poświęcony sprawom i zagadnieniom ekonomicznym, społecznym i politycznym. Wychodzi w Warszawie 15-go każdego miesiąca, pod kierownictwem X. Dra Marcelego Godlewskiego, Dra Feliksa Hilchena i Dra Karola Stadnickiego.

Otrzymaliśmy następującą odezwę:

Podejmując wydawnictwo **Ruchu Chrześcijańsko-społecznego,** mamy na celu utworzenie specyalnej placówki ideowej, z której szerzyłaby się na kraj nasz zwycięska w całym świecie katolickim **myśl chrześcijańsko-społeczna,** niecąc wśród jaknajszerszych warstw inteligencyi polskiej ideologię tego ożywczego i nawskróś nowoczesnego światopoglądu.

Chcemy wytworzyć w społeczeństwie naszem zdrowy i owocny **ruch chrześcijańsko-społeczny,** aby mógł on nietylko pogłębiać i kształtować Myśl Polską w duchu idei Chrystusowych, ale zarazem *wpływać decydująco* na stosunki nasze socyalne i gospodarcze. Wówczas przestałyby one być (jak dotychczas) igraszką ciągłych nieporozumień i polem gwałtów lub wyzysku, lecz stałyby się potężnym współczynnikiem i motorem w **wszechstronnym rozwoju** sił narodowych.

Bo **rozwój** w duchu chrześcijańsko-społecznym, to *rozwój wszechstronny* nietylko w dziedzinie dóbr materyalnych kosztem duchowych i moralnych, ale równomierny i obejmujący wszystkie przejawy życia społeczeństw nowożytnych.

Zadanie nasze doniosłe, ale i trudne i mozolne bardzo. Wiara jednak w pomoc Bożą, w zdrowy instynkt chrześcijański narodu, wreszcie we współdziałanie wszystkich i każdego, komu drogą przyszłość katolicyzmu w Polsce, napełnia nas otuchą, że zadaniu temu podołamy.

Zwróciliśmy się o współpracownictwo i pomoc w pracy do naszych i obcych działaczy i pisarzy chrześcijańsko-społecznych, a otrzymane od nich serdeczne słowa zachęty oraz przyrzeczenia

chętnego współdziałania z nami wzmocniły jeszcze ufność naszą w zwycięstwo sprawy, której służyć pragniemy.

W ukazujących się co miesiąc zeszytach pisma naszego umieszczać będziemy stale i systematycznie zarówno rozprawy zasadnicze traktujące o istocie kierunku chrześcijańsko-społecznego, jak i artykuły oświetlające z tegoż punktu widzenia kwestye bieżące i zagadnienia aktualne; będziemy wreszcie informowali czytelników naszych dokładnie o rozwoju myśli i akcyi chrześcijańsko-społecznej u nas, za kordonem i za granicą.

Stałe współpracownictwo dotychczas przyrzekli nam łaskawie: X. Patron St. Adamski (z Poznania), X. Prof. Dr. Józef Beck (z Fryburga), Dr. Henryk Hilchen, Red. Karol Holeksa (z Krakowa), Red. Szczepan Jeleński, X. Prof Lipke T. J. (z Krakowa), X. Kanonik Lisiecki (z Poznania), X. Red. Nassalski, Maryan Pachucki, Prof. Dr. H. Pesch T. J. (z Insbruka), Dr. Adam Popkiewicz, Dr. Spandowski, Eustachy Korwin Szymanowski, X. Dr. Antoni Szymański, Red. Adam Lach-Szymański, Prof. Dr. Max Turman (z Fryburga), Dr. Aleksander Woycicki, X. Prof. Dr. Zimmermann (z Krakowa) i inni.

Numer okazowy wysyła się bezpłatnie na każde żądanie.

Prenumerata: W Warszawie rocznie 4 rb., na prowincyi i w Ces. 4·60 rb., w Austryi 10 K., w Niemczech 8 mar.

Adres Redakcyi i Administracyi: w Warszawie, ul. Moniuszki 12 mieszk. 15. — telefon Nr. 22622, w Krakowie, Redakcya „Myśli Robotniczej" — Św. Tomasza 37, w Poznaniu, Księgarnia św. Wojciecha, ul. św. Marcina 69.

ODEZWA.

Brońmy zagrożonej placówki! Polacy w Miękiszu Nowym koło Jarosławia, są ze wszech stron otoczeni Rusinami i wielu z nich przeszło już, z powodu braku kościoła, na obrządek grecko-katolicki. Pozostali w liczbie 500 dusz na 6.000 Rusinów, chcąc zostać wiernymi obrządkowi rzymsko-katolickiemu, dokładają wszelkich sił, aby się uchronić od wynarodowienia.

Jako najważniejszą sprawę celem ratowania się uważają założenie i wybudowanie własnego kościoła. Dzięki usilnym staraniom, Konsystorz przemyski ustanowił w Miękiszu ekspozyturę, Polacy wybudowali plebanię i budynki gospodarskie — obecnie chodzi tylko o to, by znalazł się jaki kapłan emeryt, któryby poświęcił się dla tych kilkuset dusz i ze względu na brak kapłanów w dyecezyi przemyskiej, osiadł w Miękiszu. Ponieważ sprawa wybudowania choćby niewielkiego kościółka jest niesłychanie ważną, a odwleka się tylko ze względu na brak funduszów, przeto komitet budowy kościoła uprasza o łaskawe dalsze wsparcia. Łaskawe datki prosimy przesyłać pod adresem Komitetu (poczta Miękisz Nowy) lub też wręczać kolektantom, których Komitet wysłał w tych dniach ze składkami po kraju, a są nimi: Łukasz Adamów, Łazarz Piątkowski, Paweł Kuta, Jan Kuta, Roman Możdżan, Onufry Ogórko, Józef Wójcik i Michał Adamów, wszyscy gospodarze z Miękisza Nowego.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyecezya lwowska ob. łać.

Ministerstwo wyznań i oświaty reskryptem z dnia 23. listopada 1911 zezwoliło na utworzenie w Wygodzie nowej parafii rz. kat. i przyłączenie do niej miejscowości: Wygoda, Pacyków, Mizuń Stary z Kropiwnikiem i Przenicznikiem, Mizuń Nowy ze Słotwiną, Kalna, Nowosielica Niżna i Nowosielica Wyżna.

Dyecezya przemyska.

Instytuowany na prob. w Ustrobnej X. Franciszek Tenczar, miejscowy administrator.

Odznaczeni exp. can. X. Wojciech Stachyrak, prob. w Futomie, X. Marcin Murdza, prob. w Rokietnicy; X. Józef Rogulski, prob. w Krasiczynie; X. Józef Urbanek, prob. w Równem.

Prezentę na opróżnione prob. w Przewrotnem otrzymał X. Roman Bauer, prob. w Niebieszczanach; na prob. w Zarszynie otrzymał X. Franciszek Laskoś, miejscowy administrator.

Przeznaczeni po ukończeniu urlopu: X. Kajetan Łańcucki na posadę wikarego do Kobylan, X. Bronisław Dutkiewicz do Przewrotnego, X. Władysław Jurasz do Komborni.

Zezwolenia państwowego na systemizowanie posad wikarych udzieliło Ministerstwo w. i. o. przy kościołach parafialnych w Szerzynach i Albigowej.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Dr. Aleksander Pechnik.** Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. Leona Sapiehy l. 77. (dom własny).